



PREZENTUJEMY

Ks. Tomasz Jan Chlebowski – ur. 01.01.1974 r. w Słupcy. Kapłan diecezji włocławskiej. Obecnie studiuje na UKSW w Warszawie, posługując jednocześnie, jako duszpasterz, przy kościele św. Marcina (ul. Piwna). W roku 1998 otrzymał III nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim *O moc Ducha* w Lublinie.

KAPLICA

ściany kaplicy
wyłożonej modlitwą
jak kafelkami
łokcie
przyrośnięte do klęcznika
jak jego nierozłączny element
cisza
tylko motyl
trzepocze się bezradny
przy kolorowym witrażu
uchylił mu okno
niech przez szparę w nim
uleci w niebo
i na swoich skrzydełkach
zanieś Panu Bogu
choćby garść
urywanych słów mojej modlitwy

DYLEMAT ANIOŁA

nie chcę płakać
a jednak płaczę...
kotuszę się
na grzbietach fal
chwiejny
jak trzcina
dlaczego nie mogę
rozprześcić skrzydeł
i odlecieć
daleko stąd
to niemożliwe
– mam skrzydła
mokre od łez

NAUKOWIEC

widzisz?
znowu rozbiłeś sobie kolano
o słowa
mądrych regułek i twierdzeń
tłumy opasłych ksiąg
spięte w regale życia
zakurzyły się
spią w pokoju
nie wiedząc
kiedy znowu
i w czyich rękach
zmartwychwstana

POWOŁANIE

zakochałem się
w Twoich słowach
i poszedłem
wolny jak świt
dzisiaj
już chyba wiem
jak Ci wyśpiewać
miłość
zapisaną
krzywymi nutami
na pięciolinii
gdzie obok każdej nuty
stoi krzyż
bemolowy
z nieociosanego drewna

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHAŁITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – ks. T. J. Chlebowski 2
- KOZIOŁ, OCZY I POST – ks. M. Gładysz CSMA 3
- MÓWIĆ Z MIŁOŚCIĄ – rozmowa
z J.E. bp. Józefem Zawitkowskim 4
- AFERA RYWINA – POCZĄTEK PRZEŁOMU?
– B. Fedyszak-Radziejowska 6
- FOTOGRAFIA Z BIAŁĄ GOŁĘBICĄ – I. Sikora 8
- TRENOWANIE WIARY – M. Zatyka 10
- NIE DAWAJ NA ULICY... – M. Przybyśz 12
- DZIEDZICTWO PRZEMYSŁOWE – ks. K. Kurek SDB 14
- JÓZEF – OPIEKUN ŚW. RODZINY – H. Oleschko 15
- MISJONARZE ŚW. RODZINY – Duszpasterstwo Powołań 16
- ZGROMADZENIE SIÓSTR M.B. LORETAŃSKIEJ
– rozmowa z ss.: L. Balcerek, A. Borowska
i A. Hornowska 17
- NA KÓŁKACH Z UŚMIECHEM (cz. 3)
– M. Malinowska-Orfinger 24
- DZIECI ZAMOJSZCZYNY (CZ. 2) – C. Bunikiewicz 26
- REFERENDUM, JAK DUM DUM – Żuk 28
- SPRAWIEDLIWOŚĆ – J. Pruszyński 29
- Z CZYM DO UNII? – M. Klecel 30
- ROSJA POLSKICH MĘCZENNIKÓW – E. Zdanowicz 31
- W TRAMWAJU, CZYLI O SOLIDARNOŚCI
– ks. B. Markowski CM 32
- CORAZ BLIŻEJ WOJNY – AWP 32
- KOMUNALIZM – MM 33
- MŁOT NA SOCJALISTÓW POBOŻNYCH
– S. Michalkiewicz 34
- EPIDEMIA ZAWIŁOŚCI – J. Wegner 35
- EUSKUDI TA ASKATASUNA – A. W. Pawluczuk 36
- ETOS RYCERSKI – J. Kossakowski 37
- II PRZYKAZANIE – M. Szreder 37
- ZHUMANIZOWAĆ KAPITALIZM – A. Żybała 38
- NIE JESTEŚMY SAMI – rec. M.G. 39

FOT. OKŁADKA I – Droga Krzyżowa na ulicach Toronto podczas
Świątynych Dni Młodzieży 2002 i fot. II – G. Gałązka

Numer zamknięto 19 lutego 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Kozioł, oczy i Post



Widziałem diabła! – mówił mi kiedyś seminaryjny kolega. A było to podczas wakacyjnej włości po Bieszczadach. Z braku noclegu, wspomniany kolega i trzech jego towarzyszy, zakopali się w stogu siana, które wojsko trzymało dla swoich koni. Rano, jeszcze półseny kolega, dostrzegł nagle nad sobą pochylony rogaty łeb z długą brodą, a dokoła – niesympatyczny odór. *Diabeł!* – krzyknął. I zamknął oczy, powtarzając mechanicznie: *Jeżus, Maria!*... Obudzeni współtowarzysze przybiegli do niego... Gdy im zaczął relacjonować, wybuchnęli śmiechem... Tuż obok pasło się niewinne stadko kóz. **Koziołek** odegrał rolę diabła...

Ja natomiast mogę powiedzieć zupełnie poważnie, że widziałem piekło w **oczach** małego chłopca. W zakładzie wychowawczym, gdzie pracowałem – prawie pół wieku temu – dziecku ktoś wyrządził krzywdę. O odwecie nie było mowy, bo ten ktoś był mocniejszy... Więc dzieciak posłał to okropne spojrzenie. To było coś tak niesamowitego, że mrowie przeszło mi po ciele. Byłem oszołomiony... Teraz, gdy słyszę o *niebie w oczach dziecka* – tamten obraz powraca... Jest jakby zadra, pytaniem, dlaczego taka przepaść w spojrzeniach?

Wielki Post jest chyba czasem szukania odpowiedzi na takie pytania. To czas rekolacji, refleksji. Czas wielkich powrotów, rachunków sumienia, dobrych postanowień i modlitwy. Już na samym początku Wielkiego Postu Kościół każe nam czytać Ewangelię o kuszeniu samego Chrystusa, by nam uświadomić prawdę, że jest Szatan – kusiciel: istota duchowa, potężna inteligencją. I dialog z nim zawsze przegrywamy. Chrystusa kusił tekstami biblijnymi, a nam formuje pokuszenie w sposób piękny, sugestywny i niewinny. Mówi najpierw: *– Opuść sobie tym razem, zasłużyłeś na to... To drobiazg, świat się nie zawali... Bóg nie jest drobiazgowy...* I jutro znowu: *– I tym razem opuść sobie...* I ani się spostrzeżesz, gdy omota cię zniewolenie, przyzwyczajenie do odpuszczania sobie – generalnie wszystkiego: od zwykłej, zgrzebnej uczciwości zaczynając... A dowody? – Ano gangi, mafie, wszelkie szarlatanstwo, które podpowiada: *– Możesz mieć łatwo chleb, władzę, sławę... Podpisz tylko cyrograf, diabelską lojalkę...*

Ileż to pokuszeń szturmuje dzisiejszego chrześcijanina? Dlatego Kościół podpowiada w Wielkim Poście budowanie kondycji duchowej: odporności na zło, wytrwałości w dobrym. Słowem: ćwiczenia ducha. Jak sportowiec mięśnie. Asceza to nie tylko *zachowanie piątków*, lecz także umiejętność bycia panem siebie, panem rzeczy – a nie sługą... Najpierw musisz wyzwolić się od siebie i świata rzeczy, by kusicielowi powiedzieć skutecznie: **idź precz!**

Mówić z miłością

Z J.E. ks. bp. Józefem Zawitkowskim rozmawia Jan Korcz



foto: G. Gęsińska

Jak głosić Chrystusa dziś, gdy wokół zalewa nas potok słów – nadużywanych, zdewaluowanych...?

Evangelia jest powiedziana językiem prostym. Przypowieści jako gatunek literacki, którym często posługiwał się Pan Jezus, jest zrozumiała zarówno dla słuchających Dobrej Nowiny, jak i dla nas. Wyszedł siewca, aby siać... Wydaje się to jeszcze dla Borynowego pokolenia bardzo proste, ale przecież pokolenie dzieci ze szkoły podstawowej na wsi nigdy nie widziało prawdziwego siewcy. Widziały siewnik, ciągnik.

Jak opowiedzieć dzieciom przypowieść o siewcy? Przeżywam drugą trudność, gdy posługuję się pojęciami teologicznymi: *Miłość Boga Ojca, łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym, niech będą z Wami Wszystkimi*. – Powiedziałem zdanie, w którym słuchacz nie rozumie ani jednego słowa: *Miłość, łaska, jedność*. Co gorsze, słuchacz też odważymnia mi się równoważnikiem zdania: *I z duchem twoim*. Boję się ducha, a nawet swojego i też nie wiem, o co w tym hebraizmie chodzi. Mówię to dlatego, aby pokazać, że mówimy do siebie językiem pustych słów.

Jak to powiedzieć po polsku i po naszymu? Mam takich idoli, którzy potrafią mówić rzeczy dawne językiem współczesnych. Jest zdanie w psalmie: *...Choćbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękne, bo ty jesteś ze mną...* Muzyczna *Arka* wyśpiewa mi to zdanie tak:

Nie boję się, gdy ciemno jest,

Ojciec za rękę prowadzi mnie...

I dziękuję, to rozumiem.

Nie chodzi mi o to, abym wszystkie ewangelijne logia Pana Jezusa mówił językiem *Arki*. Powinienem jednak sam dotrzeć do sensu słowa, potem zdania. Wziąć sobie to na studium i na medytację. Wytłumaczyć to samemu sobie. Jeśli ja to rozumiem, to powiem to jasno słuchającym. Oni też to rozumieją.

Dziś wszyscy mówią – w kościele, w radiu, w telewizji. Organizm człowieka jest mądry, że się wyłącza, broni się, bo pękłaby głowa. Ucieka więc człowiek do obrazków, żuje gumę. Gdybyśmy umieli słuchać ciszy, zaczęlibyśmy samodzielnie myśleć. Wtedy łatwiej byłoby być filozofem i słuchać Mistrza.

Wszyscy Księdza Biskupa kochają! I słusznie! Bo Eksceleńcja bardzo szanuje swoich słuchaczy i czytelników.

Nie wszyscy kochają. Pokażę Ci palcem, którzy nienawidzą, dziobią, drapią. Boję się zdania Pana Jezusa: *– Przekłęci, których ludzie chwalać...* Pochwały też są życzeniem, abym takim był, więc przyjmuję je jako pracę domową. Trudna też rzecz jest mówić nagą prawdę. Nie mówią tego wszyscy mający władzę. Powiedzcie dzisiaj: *– Nie wolno ci mieć żony twego brata, to najchętniej sięcieli by głowę.*

Modne jest słowo **tolerancja**. Szanuję twoje myślenie, ale jeśli mówisz lub czynisz zło, nie mogę pochwalać tego zachowania. Odróżniam człowieka od jego złych czynów.

Modne jest słowo **dialog, konsultacja, negocjacje**. Dobrze panującym jest u nas tylko **monolog**: *– Słuchaj tego, co ja mówię, bo tylko ja mam rację*. Taką formą jest kazanie. Boję się, abym sobą, swoim słowem nie przesłonił ludziom Boga. Słucham więc zdania pana, który wcześniej mi naubił, ale zakończył maksymą: *– Nie przeszkadzajcie ludziom się zbawić! Nie daj Boże!*

W kazaniu zapewne ważna jest nie tylko treść, lecz także jego forma. Pan prof. Jan Miodek z głębokim uznaniem wyrażał się o sztuce kazań i homilii głoszonych przez ks. bpa Józefa Zawitkowskiego...

Komplementy Pana profesora Jana Miodka przyjmuję jako zadanie. Kazanie jest formą literacką. Treści kazania mogą się nauczyć. Ono może być bardzo mądre. Może być wykładem, referatem, przemówieniem wiecowym, kampanią wyborczą albo nieudolnym powtórzeniem Ewangelii, fragmentem traktatów teologicznych, cytowaniem dokumentów kościelnych, a nawet wypowiedzi Ojca Świętego. Im tego więcej, tym mądrzej. Dobrze, ale to jednak należy do dokumentów, którymi zajmują się naukowcy.

Powiedz mi to, czego się nauczyłeś od uczonych i świętych, powiedz mi po ludzku tak, abym ja zrozumiał, bo to jest katecheza, to jest kerygma. W innym wypadku będę grzeszny i tego ci nie powiem, ale pomyśl: *– Może ty jesteś i mądry, ale nie mi nie pomogłeś uwierzyć Bogu, zaufać Mu i trochę więcej Go ukochać.*

Jak więc mówić homilii? Powiedz ją dla siebie. Miej na względzie tych, którzy cię słuchają. Powiedz im naukę

z troską. Powiedz im, że ich kochasz, ale jeśli nie, to ich nie okłamuj. Oni się na tym znają.

Nie jest tajemnicą, że Eksceleńcja posiada także wykształcenie muzyczne. Ale to wszystko jeszcze nie stanowi o wysokiej jakości kazania. Potrzebna jest iskra Boża. Co to takiego?

Pan Bóg otworzył mi uszy. Umieć słuchać muzyki, poradzę sobie z analizą utworu. Miałem szczęście mieć dobrych organistów, którzy mieli w repertuarze sporo literatury muzyki organowej, znali treści pieśni. I tak mój ś.p. Henio Milek słuchał homilii, a ja wiedziałem, jakim utworem gramym mi odpowie. Wtedy dobrze jest się z organistą modlić.

Męką jest, gdy organista nie gra, a to, co gra, tak męczy, że ludzie i ja, wychodząc z kościoła, jesteśmy zdenerwowani i nie wiemy dlaczego. To robi zła muzyka. Na dyskotekach rozświeca ludzi i czyni ich agresywnymi. W kościele czasem jest podobnie.

Homilia to też koncert. Gdybym cały czas w kazaniu krzyczał, to słuchający nie wytrzymałby. W homilii jest również zapowiedź tematu, jest rozwinięcie, jest coda, a w międzyczasie zmiany dynamiki, rytmu, wariacje, imitacje i cały warsztat twórcy kompozytora. Wtedy i homilia jest przeżyciem estetycznym. To jest piękne – z Boga jest, bo piękno jest po to, by zachwycalo. Po homilii, jak po koncercie, powinien człowiek być trochę lepszy.

Co do tych pieśni, to było tak. Dzwoni nocą Wiesio i mówi:

– Józek, będzie Kongres Eucharystyczny, przyjedzie Ojciec Święty, trzeba Mu coś zaśpiewać.

– Ale co?

– Coś o chlebie, o dzieleniu się chlebem, no wiesz...

Chodzę więc tak z tąadaną pracą i coś takiego się rodzi. Gdy otrzyma to Wiesio, mówi:

– Słuchaj, to się od razu śpiewa... – Potem jeszcze poprawki muzyki, słów i stało się.

Chciałbym się pochwalić, co człowiek przeżywa, gdy wszędzie śpiewa-

ją: *Panie, dobry jak chleb...* Wybrzydzała na to teologowie – jak można Boga nazywać rzeczą? A święci tak nazywali – *Bone Pastor panis vere*. Wybrzydzała poloniści, że *bądź uwielbiony* łączy się nie z tym przypadkiem. Nie od swego Kościoła, ale przez swój Kościół...

Wybronił mnie prof. Miodek, który pochwalił za umiejętne archaizowanie: *Od narodów upragniony, od proroków ogłoszony, od nas wszystkich uwielbiony...*

Największy jednak komplement wypowiedział ks. prof. Marek Starowieyski, który podczas koncelebrny na *Placu Defilad*, gdy tę pieśń śpiewała Warszawa, powiedział: *– Józek, nie napisałbyś tego, gdybyś nie był ze wsi. Tobie pachnie chlebem, gdy lan dojrzewa...* Ale dla mnie najładniejszą pieśnią, która się urodziła od bliźniaczych dusz, to *Pieśń o Matce Boskiej Ostobramskiej*:

O Miłoscierni z Ostrej Bramy!

Przenieś mą duszę utęsknioną

Tam, gdzie niebieskie są polany,

Litewska Księżno z Ostrej Bramy!

A Wiesio wyśpiewał to przez żyzy. Tak to jest z tymi kazaniem i z muzyką. Nie wiem tylko z czego będzie mnie Pan Bóg sądził: z biskupowania czy z muzykowania?

W kazaniach Waszej Eksceleńcji jest wiele cytatów z literatury polskiej, zwłaszcza romantycznej. To bardzo się podoba słuchaczom, tym nastawionym patriotycznie. Dzisiaj jakoś pojęcie patriotyzmu się zaciera...

Poeeci widzą daleko. Ich myśli wypowiedziane poezją stają się powszechnie znane i powtarzane jako mądrość: *Mądrej głowie dość dwie słowie*.

Znam dużo poezji na pamięć. Nie tylko klasyków, romantyków, lecz także współczesnych. Gdy chcę wypowiedzieć myśli i szukam słowa czy formy, przychodzi na myśl taki wers poetycki, że nie mądrzejszego i piękniejszego nie wymyślę. Mógłbym przytaczać zdania z traktatu *De Incarnatione (O Wcielaniu)*, a mój stary Mickiewicz powiedział to w ośmiu słowach:

Grom – błyskawica

Stań się – stało

Matką – Dziewicą

Bóg – Ciało

I niech to ktoś spróbuje powiedzieć lepiej. Czy współcześni to rozumieją? Tak. Młodzi są poetami. Ten język rozumieją wszyscy:

Ponad wszystkie wasze uroki

Ty, Poezjo! i Ty, Wymowo!

Jeden – wiecznie będzie wysoki!

Odpowiednie dać rzeczy słowo.

Owszem, jest w tym patriotyzm, ale język poezji jest uniwersalny. Szekspirowe: *Być, albo nie być – oto jest pytanie* i Mickiewiczowe: *Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza* – rozumieją wszyscy. Co dziś znaczy być *patriotą* – to osobna – refleksja.

Na łamach częstochowskiej Niedzieli ukazywał się cykl artykułów autorstwa Księdza Biskupa pt. To jest Ktoś. Widnieje tam pseudonimem Ksiądz Tymoteusz.

Tak, w *Niedzieli*, i nie tylko, podpisuję się *Tymoteuszem*. Dziś już nie jest to tajemnicą. Był czas, kiedy oprócz *PAX*-owskiej *Zorzy* ukazywało się *Za i przeciw* – *Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego*. (To były młodsze służebne siostry Partii). Moich kazań do dzieci podsluchiwał, w warszawskiej katedrze, pan Andrzej Szomański – redaktor *Za i przeciw*. W rozmowie na uroczej Kanonii zapytał, czy nie chciałbym prowadzić rubryki dla dzieci, właśnie w *Za i przeciw*? Spytałem ks. prałata Stefana Piotrowskiego, czy mogę pisać w *Za i przeciw*. Rozmawialiśmy długo. Ks. Prałat powiedział – *Ty możesz, ale nie afiszuj się nazwiskiem*. – Bardzo mi się podobał ten Pawłowy *Tymoteusz*. Była więc *Tymoteuszowa* rubryka w *Za i przeciw* zatytułowana: *Nasz intymny mały świat*. Pretensjonalny tytuł, ale były to cotygodniowe listy do dzieci.

Dziś wygodnie mi pisać pod tym pseudonimem, bo nie wszystko wypada napisać eksceleńcji. *Tymoteuszowi* jakoś ujdzie.

Jak Ksiądz Biskup widzi przyszłość młodzieży w Kościele, w Polsce, gdy będziemy w Unii Europejskiej?

Nie boję się o ich przyszłość. Oni nie mają kompleksów wobec kolegów ⇨

z krajów Unii. Jesteśmy skłonni do nowinek i chętnie maľujemy, zwłaszcza to, co złe. Nasza młodzież szybko spozstręga, że naprawdę kochają ją ci, którzy od niej wymagają. Wymaga od cory czy syna dobra mama, tata, nauczyciel, ksiądz i Ten, Który przebacza, nie pamięta i każe zacząć jeszcze raz, ale lepiej. To mój Pan Jezus. Mają oni grzeszyska, ale są szczerzy. Potrafią żałować, płakać. Potrafią kochać aż do ofiary. Są szlachetni, mądrzy, dobrzy.

Jest margines. To też nie ich winą. Proszę zobaczyć, kim są rodzice. Wszyscy mamy wobec nich grzechy – ksiądz, nauczyciel i rodzice. Oni szukają świadków wiary, na których życie patrzeć, mogą uwierzyć, że jest Pan Bóg.

– *Patrzcie, jak oni potrafią pięknie żyć! Jaki więc Wielki musi być ich Bóg!* – Patrzę na dzieci pierwszokomunijne, na bierzmowanych, na tych ze szkolnych spotkań. Oni potrafią refleksyjnie przeżywać wydarzenia religijne. Patrzę na nich z nadzieją. Inaczej bym ich nie bierzmował. Wiem, że to przez nich spełni się proroctwo Słowackiego:

Przyjdzie nowych ludzi plemie jakich dotąd nie widziano.

A co będą robić w Europie? Ja jestem Europejczykiem. Nie mam oporów, aby być w Europie. Przeciż w niej jesteśmy. Mam tylko trzy zastrzeżenia. Ci bogatsi i mądrzejsi pozwolili na to, byśmy popadli w niewolę ZSRR. W rozrachunku nie policzyli nam daniny krwi od Grunwaldu do Berlina. Większy dystans mam do tych, którzy z taką gorliwością popychają nas do Unii, a przecież ich ideologiczni ojcowie naszych ojców popędzali do innej Unii – z ZSRR. Nie podobają mi się negocjacje. Zbyt wyraźnie widać nieczyste intencje mocniejszych i tych, którzy uważają się za mądrzejszych. Myślę, że przyjdzie czas nowej Wiosny Ludów, kiedy każde państwo wróci do siebie i będzie chciało o sobie stanować.

Mnie to mało interesuje, bo jestem w innej unii: Jeden jest Pan, do Niego należą czasy, wieki i pokolenia.

Serdecznie dziękuję Ekscelencji za rozmowę.

Rozmawiał Jan Korcz

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Obys żył w ciekawych czasach... Wiele ważnych rzeczy wydarzyło się w pierwszych dniach 2003 roku, ale to co najważniejsze, toczy się dzisiaj na naszych oczach. Początkiem było lipcowe spotkanie L. Rywina z W. Rapaczynską, potem – nagrana przez A. Michnika jego rozmowa z L. Rywinem. A kamyczkiem, który uruchomił lawinę, artykuł P. Smoleńskiego *Przychodzi Rywin do Michnika* z 27 grudnia 2002 roku. Ten tytuł przejdzie do historii, chociaż dzisiaj jeszcze nie wiemy, czy jako symbol klęski, czy sukcesu polskiej demokracji. Pierwsze reakcje na artykuł nie zapowiadały tego, co dzięki pracom komisji śledczej i publikacjom prasowym wiemy dzisiaj, gdy *Rzeczpospolita* ujawniła wydruki rozmów telefonicznych L. Rywina i R. Kwiatkowskiego z lipca 2002 roku. Okazało się, że panowie często rozmawiali ze sobą w czasie, gdy pierwszy z nich złożył *Agorze* propozycję zawarcia korupcyjnej umowy o treść ustawy o radiofonii i telewizji oraz o podział rynku medialnego w Polsce.

Afera Rywina – początek przełomu?

Przypomnijmy: gdy 30 grudnia 2002 roku marszałek sejmu M. Borowski powołał zespół ekspertów do weryfikacji projektu nowelizacji teź ustawy, zapewniał, że nie ma to związku z artykułem w *GW* – *to zwykły zbieg okoliczności* – powiedział. Tego samego dnia (30.12.2002 r) Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie *domniemanej płatnej protekcji L. Rywina wobec Agory*.

Mineło 6 tygodni i dzisiaj znamy już pełny, a nie okrojony zapis nagranej przez A. Michnika rozmowy, znamy także zeznania złożone przez redaktora naczelnego *GW* przed komisją śledczą, a dzięki nim, także nazwiska co najmniej dwu osób, do których prowadzi trop wskazany przez L. Rywina. I mimo że sejmowa komisja została powołana w składzie zapewniającym przewagę rządzącej koalicji, to jej obrady są transmitowane przez stacje telewizyjne, a zgromadzone przez prokuraturę materiały udostępniono członkom komisji. Wiemy też, że pierwszy miesiąc działań prokuratury nie przyniósł wielu efektów, ale im dokładniej pytają posłowie komisji śledczej, tym bardziej profesjonalnie działa prokurator.

Przeszukano miesiąc pracy i zamieszkania głównego podejrzanego, także gabinet prezesa *TVP S.A.* R. Kwiatkowskiego. Co prawda nadal pozostają tajemnicą wydruki rozmów telefonicznych

premiera, ale jeszcze 30 grudnia trudno było wierzyć w wyjaśnienie czegokolwiek w tej sprawie.

Zdumiewające, ale w felietonie opublikowanym w styczniowym numerze *PIP* pisałam: *O nadchodzącym, 2003 roku, już dzisiaj możemy powiedzieć, że wędzie do naszej historii niezależnie od wyniku akcesyjnego referendum... Żyjemy w czasach, w których rzeczy niezwykle dzieją się codziennie, a zwykle, tylko od czasu do czasu (...) i dalej ... Może do więzienia trafi chociaż jeden posiadacz wielkiego i nieprawnie zdobytego majątku, posiadający wyraźnie polityczne koneksje, i to nie z J. Buzkiem lub M. Krzaklewskim – lecz z kimś z zupełnie innego układu politycznego. Niemożliwe? Zobaczymy... A gdyby tak doszło do rewolucyjnych zmian w TVP? (...) Ale przecież wszystko może zdarzyć się w kraju, w którym życie przypomina tak dalece sensacyjny film, że aktorzy przestali zauważać, że grają w nim ważne role...*

Nie wypada cytować własnych tekstów, ale czuję się w obowiązku zapewnić Czytelników *PIP*, że nie miałam pojęcia o propozycji złożonej *Agorze* przez L. Rywina ani o rozmowach A. Michnika z prominentnymi osobami. Nie należało do żadnego *towarzystwa*, a te prorocze słowa napisałam, nie mając o niczym zielonego pojęcia.

Czekając nas przesłuchania kolejnych

świadków i coraz głośniejsze stają się odgłosy *walki buldogów pod dywanem*. Być może afera zostanie wyciszona a jedynymi odpryskami okażą się ciche, pozornie neutralne, *zdrowotne dymisje* ważnych osób. Ale poznamy prawdę o systemie politycznym, który zbudowaliśmy przez ostatnie 13 lat. Wiemy już kilka rzeczy *na pewno*. Kilka nowych poznamy w najbliższym czasie. Nawet jeżeli będziemy się bać mówić prawdę, raz zdobytej wiedzy – nie oddamy.

Nie zamierzam snuć żadnych szczególnych przypuszczeń, nie chcę bowiem powtórzyć losu red. A. Krasnowolskiego, jedynej osoby skazanej na początku lat 90. w aferze *FOZZ* – za zniesławienie Grzegorza Ż. – głównego oskarżonego w toczącym się dzisiaj procesie. A. Krasnowolski napisał w *Spotkaniach* i zasugerował, że Grzegorz Ż. wyprowadził z *Funduszu* setki tysięcy dolarów. Dlatego napiszę tylko tyle, ile powinienam.

Sądze, że dotrzymanie umowy zaproponowanej *Agorze* przez L. Rywina, a więc – zapłacenia 17, 5 mln dolarów za korzyść dla *Agory* kształt ustawy – wymagało poparcia tej ustawy przez większość parlamentarną, a tę większość ma dzisiaj koalicja *SLD – UP – PSL*. W jaki sposób *towarzystwo* stojące za L. Rywinem zamierzało dotrzymać obietnicy i doprowadzić do uchwalenia ustawy – nie mam pojęcia. Szerzej mówiąc – *nie chcę* mieć pojęcia.

Ale wiem, na czym polega korupcja jako zjawisko społeczne i wiem dlaczego niszczy gospodarkę rynkową, demokrację i kondycję moralną społeczeństwa. Wiem, że korupcja odbiera ludziom wolność, państwu – profesjonalnych i pracowitych urzędników, a nam wszystkim – perspektywę dobrobytu i bezpieczeństwa.

Powszechnie uważa się za najbardziej bulwersujące w korupcji zjawisko niezgodnego z prawem wzbogacania się osób publicznych wykorzystujących piastowane stanowiska do przyjmowania łapówek. Przyjęło się w Polsce mówić, że szczególnie podatne na korupcję są społeczeństwa biedne. Spróbuję udowodnić, że prawda jest bardziej złożona

i groźna. Przyjęcie korzyści majątkowej to najmniej znaczący element korupcji, zaś bieda obywateli nie jest jej przyczyną, a skutkiem.

Wyobraźmy sobie przetarg rozpiany w urzędzie centralnym, w ministerstwie gospodarki, w mieście stołecznym Warszawa... Zgłaszają się trzy firmy i wygrywa ta, której łapówkę przyjął **Bardzo Ważna Osoba** na tak wysokim stanowisku, że mogła zapewnić firmie sukces w przetargu. Od tego momentu zaczynają się dziać rzeczy naprawdę niebezpieczne i kosztowne. Firmy, które przegrały przetarg (bo nie dają łapówek) są dobre i powinny przetargi wygrywać. Tymczasem przegrywają i bankrutują. Dobrzy pracownicy tracą pracę. Właściciel, nauczony doświadczeniem, albo następnym razem da łapówkę i przestanie dbać o jakość, niskie koszty, albo wytrzyma presję deprawacji i zostanie na rynku. Straci zapewne część dobrych pracowników, którzy poszukają pracy w firmie płacącej lepiej – ale dającej łapówki **Bardzo Ważnym Osobom**.

Firma, która wygrała dzięki łapówce, odbierze sobie to, co zapłaciła **Bardzo Ważnej Osobie**. Więc opóźni wykonanie zlecenia, podniesie koszty, kupi tandetne materiały i zlekceważy jakość usługi. Dlaczego? Bo mając w rękę **Bardzo Ważną Osobę**, może pozwolić sobie prawnie na wszystko, skorumpowany urzędnik (polityk) będzie musiał przyjąć jej nowe warunki. Ma świadomość, że firma posiada dowody przyjęcia łapówki i użyje ich, gdy przestanie być posłusznym.

Bardzo Ważna Osoba nie ma zamiaru ryzykować, więc *kryje* firmę i płaci z budżetu państwa, miasta, przedsiębiorstwa z udziałem skarbu państwa etc... Nasze podatki wartkim strumieniem opłacają złą pracę, niską jakość i skorumpowaną firmę. Ale to jeszcze nie koniec. Podwładni **Bardzo Ważnej Osoby** domyślają się powodów, dla których tak potulnie godzi się ona na niekorzystne warunki, ulegając ciąglem żądaniom firmy. Więc przynajmniej niektórzy wykorzystują szansę, wiedząc, że ich zwierzchnik nie puści pary z ust, (mają na niego *haka*) i podobnie zachowują się w przetargach, na które mają wpływ. **Bardzo Ważna Osoba** dostre-

ga tę aktywność i tak powstaje układ oligarchiczny, przypominający maľę. Co raz więcej osób łączy szczególna lojalność, więź wspólnych nieprawości. Żaden źle pracujący urzędnik państwowy będący wewnątrz takiego układu nie straci pracy. Wie za dużo.

Towarzystwo zaprasza na rauty dziennikarzy, prokuratorów, policjantów, przedsiębiorców i wiele równie ważnych i znamienitych osób. Wzajemne związki i uzależnienia nie dla wszystkich są zrozumiałe, ale przyjaźni, sympatia i wspólne drogie wycieczki, zlecenia, ekspertyzy, przywileje wiążą ludzi uczciwych z ludźmi łamiącymi prawo. Demokracja przestaje być demokracją – głosujemy na ludzi, o których niewiele wiemy. Gospodarka rynkowa przestaje być wolna i konkurencyjna, wygrywają gorsi, dzięki łapówkom i obecności w *układzie*. Urzędnicy publiczni przestają dbać o społeczeństwo, która ich wybrała, dla której powinni uczciwie i lojalnie pracować. Z życia publicznego wyciekają dobre obyczaje, normy moralne, zaufanie obywateli do elit władzy i autorytetów, w końcu – do własnego państwa. Media przestają być wolne i razem *przywalają tym, co trzeba* – L. Rywin w rozmowie z A. Michnikiem użył znacznie bardziej wulgarnego określenia. A my wszyscy dopłacamy z naszych podatków, z naszych kieszeni do marnującego publiczne środki państwa. Bieda i bezrobocie zagląda nam w oczy.

Z. Kranodębski, w znakomitym artykule opublikowanym w *Rzeczpospolitej* pt. *System Rywina – z socjologii III Rzeczpospolitej*, napisał, że *największą przeszkodą w modernizacji Polski nie są malarolni rolnicy, lecz polskie elity, to towarzystwo z kapitałem, wpływowe, zasobne i pewne siebie. Scala ono wszystkie dziedziny życia w jedną wierzchołkę, jak za dawnych czasów...*

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć jedno zdanie z tekstu opublikowanego w styczniowym numerze *PIP*, licząc, że będzie ono równie prorocze, jak poprzednio cytowane: *Jesteśmy narodem dojrzałym, odważnym i przedsiębiorczym. Damy sobie radę.*

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Izabela Sikora

Fotografia z białą gołębicą

Mur na Kłobuckiej

Bywalcy wyścigów konnych na Szluzewcu dobrze znają Aleję Wyścigową, prowadzącą wzdłuż torów wyścigowych. W lutym, za szarym murem, jeszcze przedsezonowa cisza, ale wiosną będzie tu słychać tętent końskich kopyt, okrzyki dżokejów, szmer zachwyty na trybunach. Rozpędzone konie, symbol swobody.

Kilka przecznic dalej, na Kłobuckiej – inny mur: wysoki, solidny z zębami krat i czujnym okiem kamer. Przechodnie spoglądają z obawą na złowrogą bramę, przy której wisi nieduża tablica: **Areszt Śledczy, Warszawa Szluzewiec**.

We wtorek, czwartego lutego w biurze przepustek ruch większy niż zwykle. Dziennikarze, ekipy telewizyjne. W zakładzie karnym na Szluzewcu odbędzie się specjalna uroczystość: ks. Prymas udzieli grupie więźniów Sakramentu Bierzmowania. Wiadomość o uroczystości pójdzie do prasy, ukaże się w wieczornych serwisach informacyjnych. Dla telewizyjnym przyszwyczojonych do kroniki kryminalnej, w której normą są sceny mordów i gwałtów, będzie to niecodzienna sytuacja...

– Bierzmowanie w więzieniu? – powie niejeden... – *Patrzcie państwo, zamiast bandytów krótko trzymać, o chlebie i wodzie, urządził się im uroczystość...* Nawet Prymas do nich przyjeżdża...

W prasie zażąca się komentarze o potrzebie zaostrenia kar i wynikach ostatnich sondaży w sprawie kary śmierci. Ksiądz Prymas jednak nie przejmując się tym medialnym zgiełkiem, w zakładzie karnym na Szluzewcu jest już po raz drugi: – *Byłem głodny... byłem ubogi... byłem w więzieniu* – nauczał Pan Jezus.

Po sprawdzeniu dokumentów z grupą dziennikarzy przekraczam więzienną bramę. Dziedziniec, następna brama i furta, która otwiera się na hasło. Zanim zdążę się zorientować, jesteśmy w świetlicy więziennej – dziś przerobionej na kaplicę. Na ołtarzu dominuje duży drewniany krzyż i biała gołębicą – symbol Ducha Świętego. Na krzesłkach, przed ołtarzem, gromada młodych ludzi. Jedni w więziennych drelichach, inni w bluzach i dżinsach, większość w adidasach. Krótko ostrzyżeni. Spokojni, skoncentrowani na czytanych tekście. Gdyby nie świadomość, że jesteśmy w więzieniu, można by pomyśleć, że to szkolna klasa przygotowuje się do lekcji. Siostry szarytki, które pomagały grupie przygotować się do Sakramentu, wydają ostatnie dyspozycje. W międzyczasie dostajemy *Notatkę o przygotowaniach do Sakramentu Bierzmowania*, z której można się dowiedzieć, że do bierzmowania przygotowało się piętnaście skazanych. Zajęcia trwały kilka miesięcy (od września ub. roku) obejmowały katechizację, rekolekcje, spowiedź i Komunię Św. Pomocy udzielały siostry zakonne i wolontariusze z *Bractwa Więziennego* pod kierunkiem kapelana więziennego ks. Kazimierza Pierzchała.

Wchodzą kolejni dziennikarze, pojawiają się kamery telewizyjne. W kaplicy lekka konsternacja. Siostry przypominają: *Nikt z obecnych nie może być filmowany bez swojej zgody. W ujęciach zbiorowych nie należy pokazywać twarzy...* Skazani, jak grzeczne dzieci, zasłaniają się kartkami z tekstem, ale za chwilę uwaga wszystkich skupia się na czymś innym. Siostry szarytki rozpoczynają *Koronkę do Bożego Miłosierdzia*, żeby godnie przygotować się do Mszy Świętej. Modlimy się za stojących przed ołtarzem, za ich rodziny i najbliższych.

O duchową przemianę, o dary Ducha Świętego.

Siedlisko zła

Poruszenie wśród dziennikarzy zwiastuje przybycie Księdza Prymasa i dostojnych gości. W tej grupie dostrzegam znajomą sylwetkę Marka Łagodzińskiego, współtwórcy *Fundacji Sławek* wyróżnionej przez naszą redakcję nagrodą *Bóg Zapłaci* za pracę wśród więźniów i uzależnionych od alkoholu, popartą własnym świadectwem i stworzeniem skutecznego modelu pomocy osobom opuszczającym więzienie. Ten *Bóg Zapłaci* przyznaliśmy na wiosnę 1998 r. Od tamtej pory *Fundacja* znacznie duży drewniany krzyż i biała gołębicą – symbol Ducha Świętego. Na krzesłkach, przed ołtarzem, gromada młodych ludzi. Jedni w więziennych drelichach, inni w bluzach i dżinsach, większość w adidasach. Krótko ostrzyżeni. Spokojni, skoncentrowani na czytanych tekście. Gdyby nie świadomość, że jesteśmy w więzieniu, można by pomyśleć, że to szkolna klasa przygotowuje się do lekcji. Siostry szarytki, które pomagały grupie przygotować się do Sakramentu, wydają ostatnie dyspozycje. W międzyczasie dostajemy *Notatkę o przygotowaniach do Sakramentu Bierzmowania*, z której można się dowiedzieć, że do bierzmowania przygotowało się piętnaście skazanych. Zajęcia trwały kilka miesięcy (od września ub. roku) obejmowały katechizację, rekolekcje, spowiedź i Komunię Św. Pomocy udzielały siostry zakonne i wolontariusze z *Bractwa Więziennego* pod kierunkiem kapelana więziennego ks. Kazimierza Pierzchała.

– *Miałem bardzo obiegowe pojęcie o ludziach, którzy siedzieli w więzieniu* – wyznaje Marek Łagodziński. – *Myslałem, że są źli, zepsuci. Jak ktoś trafił do więzienia, to już dobry nie może wyjść, bo tam może się nauczyć kraść, napadać i czyścić zło. Dopiero kiedy poznałem wielu więźniów, kiedy zobaczyłem, jak boją się wolności, (ci którzy chcą się zmienić) – zupełnie zmieniłem stosunek do nich. Pan Bóg, po pierwsze, skierował mnie do więzienia, żeby ich poznać. Po drugie: pokazał mi, że wśród ludzi nie można tak naocznie dostrzec obecności Chrystusa, jak w więzieniu. Wybierzcie się choćby raz na Mszę Świętą w więzieniu, gdzie ci ludzie się modlą, odmawiając przed rozpoczęciem nabożeństwa połowę katechizmu, zobaczcie jak są przejęci, kiedy przystępują do Komunii św. Wielu z nich dopiero w więzieniu zostaje ochrzczonym, przystępując do Pierwszej Komunii św. i Bierzmowania. Ja wcześniej tego nie wiedziałem. Myslałem, że więzienie jest siedliskiem zła. Trafiłem tam, nie za sprawą prokuratora, ale za sprawą Chrystusa. Wtedy też zrozumiałem, że kiedy coś dajesz, to otrzymujesz podwójną zapłatę.*

Cóż ja mogę im dać? Trochę swojego czasu. Jak ktoś wychodzi na wolność i nie ma co ze sobą zrobić – mogą go przyjąć, bo fundacja ma wreszcie swój dom. To niby nic, ale dla takiego człowieka jest to moment decydujący o jego

dalszym życiu. Bo te pierwsze godziny spędzi w bezpiecznych warunkach wśród ludzi, którzy nie namowią go do pijaństwa, nie namowią do przestępstwa – tylko pokażą, że można żyć inaczej. Poznawszy uczciwe życie, będzie później wiedział, co straci. Sławek, Jacek i inni – ludzie, którym pomogłem w tych ciężkich chwilach, odpłacają mi teraz prawdziwą przyjaźnią.

Praca wśród więźniów wymaga wielu wyrzeczeń, nieraz kosztem rodziny. Zdarzają się chwile, kiedy dzwoni ktoś do mnie o 10.00 w nocy i mówi, że stoi na dworcu i nie wie, co dalej, bo właśnie wyszedł z więzienia. – Czy mam mu odpowiedzieć?: **Nie mam dla ciebie czasu! Poczekaj, może w przyszłym tygodniu się umówimy...** – Przecież on może nie doczekać do przyszłego tygodnia...

Być dobrym

W kaplicy zakładu karnego na Szluzewcu skupiona cisza, w której wyraźnie słychać dobitne słowa Prymasa: – *Są różne kodeksy. Cywilne i karne. Najważniejszy jest jednak kodeks, który otrzymaliśmy od Boga. Dziesięć Przykazań. Kto ich przestrzega, może iść przez życie z podniesioną głową...* Nie będziesz miał bogów cudzych przede

mną... *Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno... Pamiętaj, abyś dzień święty święcił... Czcij ojca swego i matkę swoją... Nie kradnij!... Nie zabijaj!... Gdyby to rozszerzyć, moglibyśmy dodać: Nie maltretuj, nie znęcaj się nad słabszymi... Nie poniewieraj!... To przykazanie dotyczy także naszego stosunku do zwierząt i do przyrody, o którą powinniśmy się troszczyć...*

Duchu Święty, przyjdź!

Duchu Święty, przyjdź!

Niech wiara zagości.

Nadzieja zagości w nas – intonuje siostra Anna. – *Duchu Święty, przyjdź!* Z oczekiwaniem, tęsknotą i nadzieją. – *powtarza chór męskich głosów... Z oczekiwaniem, tęsknotą i nadzieją.*

To niecodzienne miejsce i niecodzienne słowa. Pamiętajmy o tym, że bramy więzienne szczelnie zamknięte na Słowo Boże, uchyliły się dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy do cel więziennych przyszli kapelani, siostry zakonne, wolontariusze *Bractwa Więziennego*. Pojawili się terapeuci pomagający uporać się z nabożem. Praca tej grupy zapaleńców trwa dopiero od kilku lat, przynosząc nadspodziewane efekty. Któżby pomyślał, że zatwardziały recydywista, który poło-

wę życia spędził w więzieniu może się

nawrócić, założyć rodzinę i na wolności zacząć nowe życie. Mało tego! Zacznie troszczyć się o innych skazańców, odwiedzać ich w więzieniu – żeby przykładem własnego życia powiedzieć: – *Nie traćcie nadziei! Wszystko jest możliwe... Skoro mnie się udało, wam także się uda!* Takie były początki fundacji *Sławek*.

Przypomnijmy słowa Sławka, który tak opowiadał o swojej przemianie duchowej: – *Kiedys terapeutka zapytała mnie... Jakim chciałbyś być? – Dobrym... – Wtedy myślałem, że być dobrym – to mieć kupę forsy i rozdawać innym. Teraz wiem, że to nie na tym polega. Być dobrym, to znaczy nie robić złych rzeczy. Teraz mogę powiedzieć, że jestem Sławkiem dobrym. Nikogo nie okradłem! Nikogo nie oszukałem! Nawet na kobiety patrzę inaczej... Wiem, że dziś dobro we mnie wygrywa. Żyję godnie, nikomu nie robię krzywdy. To jest szczęście!...*

Msza Święta w więziennej kaplicy dobiega końca. Z powodu kamer i dziennikarzy trudno docisnąć się do ołtarza. Więżniowie jednak nie rezygnują... – *Siostry, jeszcze my do Komunii...* Nie mogliśmy się dopchać... – Potem błogosławieństwo i podziękowania.

Dla Księdza Prymasa, który w dniach swojego jubileuszu dwudziestolecia otrzymania godności kardynała przyjechał za więzienną bramę, jeden z więźniów wyrzeźbił figurkę świętego Piotra-Rybaka... *Od dzisiaj zamiast ryb, będziesz łowił dusze...* – powiedział Piotrowi Pan Jezus... Obfitych połowów i wszelkich łask Bożych księdzu Prymasowi życzyli więźniowie i wszyscy zgromadzeni. Wyraży wdzięczności otrzymała pani naczelnik więzienia, dzięki której praca z więźniami może odbywać się bez przeszkód. Siostry szarytki i siostry misjonarki miłości, duchowni i wolontariusze. W imieniu bierzmowanych i wszystkich objętych pomocą w więzieniu dziękował ks. kapelan K. Pierzchała.

Na koniec wspólne zdjęcie. Przemek i Karol obok księdza Prymasa. Artur poważny, Michał uśmiechnięty, siostra Anna z gitarą. Nad nimi biała gołębicą, Duch Święty. ■



foto: I. Sikora

Marcin Zatyka

Trenowanie wiary

Adepci bokserskiego klubu *Serafin* nie poszukują głębokich doznań religijnych. Przychodzą na treningi, bo chcą rozwijać swoje umiejętności sportowe. Jedni – aby błyszczyć wśród kolegów, inni – by obronić się w niebezpiecznym mieście. Przy okazji mogą porozmawiać o Bogu...

Warszawskie Śródmieście, listopadowy wieczór. Wchodzę do małej szkoły, w której zajęcia bokserskie prowadzi bracia Skupińscy, byli reprezentacyjni pięściarze. Zaglądam do szatni. Kilku nastolatków wita mnie groźnymi spojrzami. – *Patrz Sloniu, twój sparring-partner przyszedł* – jeden z krótko ostrzyżonych chłopaków mówi do swojego dużego i wytatuowanego kolegi, pokazując na mnie.

Ku większej chwale Boga

– *Ten napis na koszulkach to skrót od łacińskiego *Ad Maiorem Dei Glo-**

riam. Oznacza to, że jesteśmy nieformalnym klubem katolickim i wszystko, co tutaj robimy, jest na większą chwałę Bożą – wyjaśnia mi Skupiński.

Na chwilę przerywa, podchodzi do ustawionych w szeregu zawodników i wydaje im polecenia. – *Najpierw rozgrzewka, kilka minut rozciągania, później ćwiczenia w parach* – tłumaczy filigranowej postury trener.

Za chwilę znów jest przy mnie. – *Na czym to skończyliśmy?* – pyta, nie odrywając wzroku od kilkunastoosobowej grupy, która właśnie rozpoczęła bieg dookoła sali. – *Aha... Napis na koszul-*

*kach to nie wszystko. Nasz klub nazywa się *Serafin*, tak samo jak anioł, który kontempluje oblicze Boga. Niektórzy dziwią się, że taką właśnie nazwę wybraliśmy dla klubu boksu tajskiego. Cóż, na początku nazywał się *Skorpion*, ale po przemianach, jakie nastąpiły w moim życiu, stara nazwa wydawała mi się trochę śmieszna. Mojego brata Michała, z którym wspólnie zakładaliśmy klub, też trochę bawiła. Nie wahał się jej zmienić...*

Maciek jest dzisiaj sam. W grupie trenujących nie udaje mi się znaleźć jego brata bliźniaka. Szkoda, pozostają mi jedynie opowieści o bokserskich umiejętnościach Michała.

O braciach Skupińskich głośno było nie tylko w świecie sportowym. Do niedawna mówił o nich także półświatek. Kiedy godzili karierę sportową z pracą na bramkach stołecznych dyskotek zmuszeni byli do karcenia agresywnych gości. Jeśli okazał się nim któryś z miejscowych gangsterów, najczęściej wracał z grupą kolegów. Kończyło się dużą awanturą, lokal tymczasowo zamykano, a prowokującym swym wyglądem filigranowym bliźniakom dziękowano za współpracę w obawie przed kolejną wizytą intruzów.

– *Widzisz tego w czerwonych spodenkach?* – Maciek pokazuje głową w kierunku dużego chłopaka z wizerunkiem smoka na ramieniu. – *Kamil to typowy zabijaka z dyskoteki. Przychodzi do nas od niedawna i już nauczył się pokory dla swoich rywali. Chłopcy szybko pokazali mu, że w walce liczą się przede wszystkim umiejętności, a nie agresja...*

Michał Zawodowiec

Karierę sportową bracia Skupińscy rozpoczęli już w szkole podstawowej. Najpierw trenowali akrobatykę sportową, później karate kyokushinkai, boks tradycyjny i kick boxing. Medale zdobywane podczas mistrzostw Polski zadawały jednak na krótko. Bliźniacy coraz częściej myśleli o karierze międzynarodowej.

Latem 2000 r. marzenia zaczęły się spełniać. Michał Skupiński wyszedł na

zawodowy ring i podczas bokserskiej gali w Kołobrzegu pokonał przez nokaut techniczny Węgra Atillę Toroka. Prawie 10 tys. kibiców zgotowało owację na stojąco nowej gwiazdzie pięściarstwa.

– *Tamten okres był bardzo ważny w naszym życiu sportowym, ale mało rozwijający wewnętrznie* – wspomina Maciek. – *Pieniądże nas się nie trzymały. Żyliśmy szybko i wesoło...*

Rozbite puchary

Radość bliźniaków nie trwała długo. Kilka tygodni po sportowym sukcesie Michał i Maciek dowiedzieli się o śmiertelnej chorobie ich mamy. – *Dolegliwości nasilały się* – opowiada Maciek. – *Mama z dnia na dzień była słabsza, a my, ludzie siły, szanujący dotychczas jedynie zdrowych i sprawnych fizycznie, staliśmy w konflikcie z samym sobą. Musieliśmy wówczas wiele przetworzyć. Kiedy dotarła do nas myśl o kruchości istnienia, zaczęliśmy myśleć o śmierci, o Bogu, o naszej przyszłości. Przeszłość przestała się liczyć. Za każdy kolejny dzień życia mamy każdy z nas oddałby wszystkie dni swojej sportowej glorii. Kiedy zrozumiałem, że mama nas opuści, z żalu i bezradności połknęłam wszystkie puchary...*

Śmierć mamy była ostatnim etapem kariery braci Skupińskich. Nie chcieli wracać do wyczynowego sportu, ale żal im było porzucać ring. Powoli w ich głowach świtał plan utworzenia szkoły bokserskiej, w której obok zajęć typowo sportowych można by wychowywać młodzież. – *Czuliśmy potrzebę radykalnego zerwania z naszym dotychczasowym życiem, ale nic innego poza boksem nie potrafiliśmy zrobić* – opowiada Skupiński. – *Postanowiliśmy założyć szkołę boksu tajskiego, ale odmienną od już istniejących. Szkołę, w której będą rozwijane nie tylko umiejętności fizyczne, lecz także kształtowane postawy chrześcijańskie. Dokładnie omówiliśmy sens istnienia klubu z dwoma zaprzyjaźnionymi księżmi.*

Obaj początkowo mieli wątpliwości co do takiej formy wysławiania Boga. Z czasem jednak przekonali się. Poradzi-

li, by wychowywać i czekać na owoce.

Działacze *K.S. Serafin* szybko wstąpili o dwie sale gimnastyczne i rozpoczęli profesjonalne treningi. O swojej działalności wkrótce też poinformowali przez internet, zaznaczając, że wszystkie wiadomości publikują za zgodą przełożonych Kościoła.

– *Nie wszyscy dali się przekonać* – dodaje Maciek. – *U nas nadal do takich form ewangelizowania podchodzi się z dystansem. Daleko nam do Irlandii, gdzie katolickie kluby bokserskie należą do codzienności...*

Nie dla przestępców

– *Milosz, stop!* – trener *Serafina* przerywa pojedynek dwóch nieproporcjonalnych względem siebie zawodników. Pozornie słabszy okłada większego. – *Sloniu, opuściłeś kilka treningów i już ledwo zipiesz* – karci pokonanego Skupiński. – *Kolejna dwójka na sparring!*

Maciek wraca do mnie, kiwając głową z wyraźną dezaprobatą: – *Zawsze im powtarzam, że więcej potu na treningu, to mniej krwi w walce. Wielu myśli, że warunki fizyczne lub wiek są najważniejsze. Taka reguła tutaj nie istnieje. Zdarza się, że siedemnastolatek potrafi pokonać trzydziestoletniego zawodnika. Ci, którzy rzetelnie trenują, rzadko przegrywają.*

Walczy następna para – dwóch niskich chłopaków, których Maciek przedstawia jako studentów. Pojedynek bardzo wyrównany i zacięty. Dużo ciosów i kopnięć.

– *Nie obawiasz się, że szkolisz potencjalnych przestępców?* – pytam. Maciek milczy. Patrzy na walkę. Po chwili odpowiada: – *Kilkakrotnie już zadawano mi to pytanie. Wiesz, w dzisiejszych czasach przestępcy nie muszą marnować czasu na treningach. Wystarczy, że na pierwszym lepszym targowisku kupią kastet, nóż, albo pistolet. Przestępca to zazwyczaj człowiek bez charakteru, który woli przyjemniej spędzać czas niż męczyć się na ringu. Sporty walki kształtują człowieka, wymagają od niego wielu wyrzeczeń. Oczywiście, nie mogę wykluczyć, że któryś*

z moich chłopców kiedyś wykorzysta te umiejętności w złym celu. Dlatego, poza tym że wpajamy im zasady szlachetnej walki, staramy się też rozmawiać z nimi. Niekiedy zwierają się nam z osobistych problemów, proszą o radę, a wtedy opowiadam im o moich zakrętach życiowych, o zaufaniu do Boga...

Pożegnania i powroty

Do *Serafina* nie przychodzi jednak tylko religijni chłopcy. Skupińscy dobrze pamiętają wrogość, z jaką kilku zawodników przyjęło księdza, który pojawił się, aby poświęcić salę. – *Niektórzy wyrażali swoją dezaprobatę w związku z tą wizytą* – wspomina Maciek. – *Ale najważniejsze, że zmieniają się. Na Mszy inauguracyjnej sezon jeściem było aż dziewięciu zawodników. Rok wcześniej tylko ja z bratem. Boks tajski jest sportem kontaktowym, bardzo brutalnym. Ale dzięki temu przyciąga agresywnych ludzi z różnych środowisk. Nam czasami udaje się ich zmienić.*

Trener ożywia się. Pokazuje mi chłopaków, którzy dla boksu tajskiego rzucili palenie lub ograniczyli swoje kontakty z alkoholem.

– *Czasami miło mnie zaskakują* – kontynuuje Skupiński. – *Pamiętam, jak dwukrotnie okradziono naszą szatnię. Za drugim razem wiedzieliśmy, kto to zrobił, ale namówiłem ich, żebyśmy potraktowali to jako naukę i wstrzymali się od zemsty. Wiedziałem, że żądam od nich niemożliwego, a jednak się udało.*

Trening powoli dobiega końca. Maciek odprowadza mnie do drzwi.

– *Nie tęsknicie za wielką karierą?* – pytam, żegnając się z trenerem.

– *Ani trochę. Ta szkoła daje znacznie więcej satysfakcji niż sportowe trofea.*

– *Twojemu bratu też?* – drażę.

– *No wiesz, ...chyba tak...jemu na pewno dawala... Michał niedawno wstąpił do seminarium* – mówi szepem Maciek, z zakłopotaniem drapiąc się po głowie. – *Nie wiem, jak to powiedzieć chłopakom... Jeszcze trochę, a przestraszą się tych naszych treningów* – mruga do mnie i, cicho śmiejąc się, wraca na salę. ■



foto: P. Zięćka

Spotkać ich można na dworcach, przy supermarketach i głównych ulicach albo w przejściach podziemnych. Niektórzy ze spuszczoną głową pokornie czekają na datkę. Inni natrętnie, a czasem i nachalnie, domagają się jałmużny. Są dla nas jak wyrzut sumienia, ponieważ mamy gdzie mieszkać i za co kupić chleb. Każdy z nich wydaje się bardziej od nas nieszczęśliwy, bezradny, skrzywdzony przez los...

Nie dawaj na ulicy!

– czyli słów kilka o jałmużnie wielkopostnej

Monika Przybysz

Był sobie pewien ślepy żebrak. Żył w Nowym Jorku. Codziennie siadał w tym samym miejscu, na Madison Avenue – ulicy, przy której mieszczą się największe agencje reklamowe. Siedział i siedział, ale nikt nie zwracał uwagi na jego tabliczkę z napisem: *wspomóżcie ślepcę*. Pewnego dnia podszedł do niego copywriter (pracownik agencji reklamowej). Ślepiec poprosił go o jałmużnę. Copywriter odparł: *– Nie dam ci pieniędzy, ale sprawię, że już nigdy twoja puszka na datki nie będzie pusta.*

Wziął tabliczkę, przekreślił ją na drugą stronę i – po chwili zastanowienia – sprawną ręką coś na niej napisał. Następnie postawił tabliczkę przed żebrakiem i odszedł. Ślepy żebrak nie wiedział, jaki napis pojawił się na jego tabliczce, ale słyszał, jak od tego momentu jego puszka na jałmużnę regularnie się zapełniała. Po kilku dniach nie wytrzymał i poprosił przypadkowego przechodnia o przeczytanie napisu. Tekst brzmiał następująco: *Jest przepiękna wiosna. Świat budzi się już do życia. Po alejkach w parku zakochani chodzą trzymając się za ręce. Rozkwitają pączki świeżych kwiatów. Promyki słońca padają na soczyste zieloną trawę. Jest wiosna... a ja nigdy tego wszystkiego nie zobaczę.*

Mora! W reklamie jest jak w życiu: najbardziej porusza ludzi nie to, co mówimy, ale sposób, w jaki mówimy. Są i tacy, których można by słuchać z zapartym tchem, nawet gdyby czytali

książkę telefoniczną.

Zawód jak każdy inny?

W ubiegłorocznej, sierpniowej pielgrzymce do Ojczyzny Jan Paweł II prosił nas o miłosierdzie dla ludzi potrzebujących, odrzuconych, doświadczonych przez cierpienie i trudności. Miłosierdziem nie jest jednak dawanie pieniędzy żebrakom na ulicy. Ta piękna historia żebraka ma nas nie tylko wzruszyć, lecz także zwrócić naszą uwagę na bardzo ważny fakt. Zebranie na ulicy związane jest najczęściej, podobnie, jak w reklamie – z naciąganiem nas! Dlaczego? Już wyjaśniam.

Zebractwo w dużym stopniu jest po prostu zawodem. Wielu z ludzi żebrzących na ulicy nastawia się na taki sposób zarabiania na życie. Najczęściej naciągają oni naiwnych przechodniów na pieniądze, które później wydają na alkohol, narkotyki, czy inne używki. Na warszawskiej Starówce wielokrotnie można spotkać ledwo przytomnego młodzieńca z tabliczką: *Zbieram na piwo*. Z kolei jeden z jego kolegów po fachu do powyższego tekstu dopisał jeszcze na swojej tabliczce: *Dla siebie i dla psa*. Skoro jednak stać go na posiadanie zwierzaka, to logika nakazuje przypuszczenie, iż poradzi sobie również z opłatą za napój chmielowy. Nie jest obecnie dla nikogo tajemnicą, iż *zawodowi* żebracy przechwalają się czasem sumami rzędu nawet kilkuset złotych dziennie, zebranymi w bardziej

atrakcyjnych miejscach większych miast.

Litością i pobożnością żebrak się bogaci

Specyficzną grupę żebraków na polskich ulicach stanowią cudzoziemcy, najczęściej z Rumunii, Balkanów i innych rejonów dotkniętych konfliktami zbrojnymi. Według szacunkowych danych ta grupa stanowiła pod koniec lat dziewięćdziesiątych około 70 proc. ogółu żebraków w Polsce. Czyżby więc Polska nie była aż tak biednym krajem, skoro posiada taki napływ specyficznej grupy ludzi *pracujących*?

Współcześni żebracy uczą się wielu *technik* reklamowych. W grupie proszących o jałmużnę cudzoziemców zdecydowanie przeważają młode kobiety, najczęściej z małymi dziećmi. Jest to *trick na litość*, bo cóż winne są te małeństwa... Przechodnie wierzą naiwnie, że udzielone wsparcie materialne polepszy los dzieci. Mężczyźni zaś w spokoju czekają na zebrane pieniądze w ogródkach piwnych, prowadząc długie rozmowy przez telefony komórkowe...

Inni żebracy z kolei stosują pewien *terrorizm duchowy*. Zakładają, że większość polskiego społeczeństwa to ludzie wierzący. Wykorzystują więc ten fakt i sięgają po różańce, krzyże, święte obrazki, aby za ich pomocą poruszyć wrażliwe dusze przechodniów.

Pomagajmy dobrze

Oczywiście nie wszyscy żebracy są *naciągaczami*. Niektórzy z nich znaleźli się na marginesie normalnego życia nie ze swojej winy. Czasem są to ludzie starsi, którym niska emerytura nie wystarcza na życie. Bezrobotni, od dłuższego czasu nie mogący znaleźć pracy i nie mający prawa do zasiłku. Osoby kalekie i ciężko chore, których nie stać na leczenie. Trudno jest jednak odróżnić naciągacza od człowieka potrzebującego. Co więc robić, jak się zachować wobec tak wielu bliźnich proszących o pomoc?

Najlepszym z rozwiązań jest wspieranie instytucji, które mają doświadczenie w pomocy najbardziej potrzebującym. Wery-



foto: F. Żywieński

fikują one w miarę możliwości sytuację podopiecznych. Jest konieczne bowiem, aby potrzebujący chciał wyjść ze swojej trudnej sytuacji. Tylko wtedy pomoc jest skuteczna. Takimi instytucjami są *Caritas*, *Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta*, czy też inne zgromadzenia zakonne, pracujące wśród ubogich i bezdomnych. W okresie Wielkiego Postu możemy przecieć już od wielu lat zbierać jałmużnę w skarbonki rozdawane przez *Caritas* i przynieść je do Kościoła w niedzielę palmową. Zasada, którą odkryli już dawno pracownicy takich instytucji, jest bardzo prosta: jeśli nie będzie dawań, to zniechęcać się również ci, którzy biorą na ulicy.

Akcja reklamowa, rozpoczęta w lutym 2001 roku we Wrocławiu przez organizację charytatywną, informowała

mieszkańców miasta, iż dawane na ulicy pieniądze przyczyniają się do rozwoju żebractwa. Plakaty z dziurawym żebraczym kapeluszem, przez który przelatują ofiarowane pieniądze, zawisły w kościołach, placówkach pomocy społecznej i innych miejscach publicznych. Apel *Pomagajmy dobrze* rozposzczyniany był także przez ulotki rozdawane na ulicach, szczególnie w miejscach chętnie obstawianych przez osoby żebrzące. Kolportowali je mieszkańcy wrocławskich schronisk dla bezdomnych. Akcja została rozszerzona także na inne miasta, np. Wadowice. U mieszkańców tych miast poziom wiedzy, jak pomagać innym, wyraźnie wzrósł. Liczba żebraków zaś trochę się zmniejszyła... Musimy jednak pamiętać, że w przypadku osób ubogich samo

dawanie pieniędzy nie przyczyni się do wyciągnięcia ich z biedy. Może być pomocą doraźną, ale nie rozwiąże problemu.

Chleb zamiast pieniędzy

Problem żebractwa dotyczy całej rodziny. Wobec dylematu, jak takim ludziom pomagać, stajemy bowiem nie tylko my, lecz także nasze dzieci. Nasza mądrość w udzielaniu wsparcia może nie zostać dobrze przez nich rozumiana. Warto jest więc wytłumaczyć dzieciom mechanizmy, które rządzą światem żebraczym. Widząc żebraka, człowiek wrażliwy staje bowiem przed dylematem: *dać czy nie dać?* Na bezpośrednią obecność ludzi proszących o pomoc trzeba jakoś zareagować. Niektórzy starają się ich omijać, udając, że ich nie widzą, lub wprost kategorycznie odmawiają wsparcia. Są także ci, którzy dają pieniądze, kierowani zresztą bardzo różną motywacją, np. aby się poczuć dobrym człowiekiem, rozgrzeszyć, że nie jest się takim złym..., albo z nieumiejętności okazania prawdziwej pomocy. Jak więc się zachować?

Dobrym sposobem może być zaofiarowanie proszącemu o pomoc czegoś do jedzenia, zamiast pieniędzy. Prawdziwie potrzebujący nie odmówi. Naciągacz może nas za taką propozycję nawet obrazić. Taka reakcja oznacza, że naszą pomoc chciał wykorzystać prawdopodobnie na używki lub inne – niekoniecznie dobre – cele.

Wkraczamy w wielkie święto zwycięstwa Życia nad śmiercią, zostawiając wszystko, co stare i złe, za sobą. To dobry czas na wprowadzenie pozytywnych zmian w naszym życiu. Jedną z nich może być nawyk udzielania dobrej i mądrej pomocy. To nie zawsze przychodzi łatwo. Zagoniony człowiek nie ma czasu, aby pójść do sklepu i kupić głodnemu chleb oraz kawałek czegoś do chleba. Łatwiej jest wrzucić grosik do puszki. Warto przypomnieć sobie jednak ważną zasadę w życiu – niejednokrotnie sposób dawania znaczy o wiele więcej niż to, co się daje!

ks. Kazimierz Kurek SDB

Dziedzictwo przemysłowe

Soborowa Konstytucja *GAUDIUM ET SPES* mówi, że *mianem kultury w sensie ogólnym oznacza się wszystko, czym człowiek doskonali i rozwija wielorakie uzdolnienia swego ducha i ciała; stara się drogą poznania i pracy poddać sam świat pod swoją władzę; czyni bardziej ludzkim życie społeczne tak w rodzinie, jak i w całej społeczności państwowej przez postęp obyczajów i instytucji; wreszcie w dziełach swoich w ciągu wieków wyraża, przekazuje i zachowuje wielkie doświadczenie duchowe i dążenia na to, aby służyły one postępowi wielu, a nawet całej ludzkości. Do naszych rozważań warto dołączyć jeszcze jeden fragment ze wspomnianego dokumentu – Wynika stąd, że kultura ludzka z konieczności ma aspekt historyczny i społeczny oraz, że wyraz kultura przybiera nieraz znaczenie socjologiczne oraz etnologiczne; w tym zaś znaczeniu mówi się o wielości kultur. Z różnego bowiem sposobu używania rzeczy, wykonywania pracy i wypowiedania się, pielęgnowania myśli i kształtowania obyczajów, stosowania praw i instytucji prawnych, rozwijania nauk i sztuk oraz kulturowania piękna powstają różne, wspólne warunki życia i różne formy układu dóbr życiowych. Tak z przekazanych instytucji powstaje dziedzictwo swoiste dla każdej ludzkiej wspólnoty...*

Dziś pochylamy się nad tą cząstką dziedzictwa, którą jest dziedzictwo przemysłowe. Jest ono świadectwem – znakiem tych wielorakich wysiłków, nieraz całych pokoleń, które drogą poznania i pracy, *czyniąć sobie*

ziemię poddaną – poddawały świat swej władzy. Przechodząc zatem przez najróżnorodniejsze wytwory ludzkiej myśli (lub obok nich), w tym przez obiekty i dzieła takie jak maszyny, wchodzimy w krąg ludzkich zmagania – minionych pokoleń – po to, by czynić świat coraz bardziej przyjaznym, coraz bardziej nacechowanym życzliwością i dającym poczucie bezpieczeństwa człowieka. Z bogactwa tego dziedzictwa staramy się odczytywać ludzki geniusz, jego myśl twórczą, zasady, którymi kierowano się przy projektowaniu i wznoszeniu dzieł obiektów, których zadanie i rola dziś już nie są przydatne do bezpośredniego rozwoju – działalności gospodarczej, użytkowej, handlowej. Ale dlatego, że dziś wiele tych dzieł nie jest bezpośrednio nawet potrzebnych – tym bardziej rodzi się pytanie: jakie jest ich miejsce pośród dziedzictwa, które narasta jako owoc pracy rąk ludzkich każdego pokolenia? Miejsce ich będzie takie, jak obecne i przyszłe pokolenia widzieć będą miejsce człowieka jako *twórcy, ośrodka i celu całego życia gospodarczego.* Zależać będzie od tego, czy człowiek uzna godność drugiego człowieka, zdolnego do rozróżniania dobra i zła; wyboru dobra, a odrzucania zła; czy uzna kwestię sumienia jako wiążącą we współczesnej kulturze.

Z dzieł techniki uczymy się tak wiec o człowieku minionych czy mijających dziesięcioleci. Uczymy się tego, w jakim celu były tworzone dzieła-objekty; jakie przynosiły pożytek i czy człowiek, będąc związany więzami pracy – wychodził niejako z nich

szlachetniony. Moja młodość i czas studiów na pierwszym wydziale związane są z miastem, w którym jest wiele zabytków techniki. Odbywałem praktyki na terenie zakładów, które znane są z wykwintnej architektury, przechodziłem wiele razy wśród maszyn, które dziś są już zbędne. Mam w pamięci zmagania dziesiątków mężczyzn i kobiet przemysłu włókienniczego, ich pot wsiąkający w miejsca pracy. Ściany wielu fabryk nasączone są żarliwą troską o wytrwanie, a nie raz złorzeczeniem na trudne warunki pracy. Kilka tygodni temu – odwiedzając Łódź – bo to miasto mam przed sobą – stanąłem w pobliżu fabryk, które poznałem z bezpośredniego doświadczenia. Zamknięte na cztery spusty, chwasty porastające dachy i okapy, walające się maszyny. Co z tego ma pozostać jako świadectwo pokoleń ludzkiego geniuszu, ludzkiej troski, także wiele razy jako świadectwo niesprawiedliwości, zawsze jednak jako świadectwo prawdy o człowieku?!

Zabytki techniki należą zatem do szeroko rozumianego dziedzictwa kulturowego; dziedzictwa noszącego ślady dojrzwania człowieka we wszystkich jego zdolnościach. Noszą także ślady prawdy o sumieniu twórców dzieł techniki. Czy były one tworzone z myślą o człowieku czy podporządkowane tylko niekontrolowanemu mechanizmowi produkcji? Im zatem odważniej popatrzymy, m. in. na zabytki techniki – dojdziemy do wniosku, że musimy je – przynajmniej w znaczącej części – zachować, aby były świadectwem kultury minionych pokoleń, twórczości. Pokoleń, wobec których mamy zobowiązania wdzięczności za dar życia. Abyśmy mogli i my i następne pokolenia odczytywać prawdę zmagania o ludzki los, o wolność uczestnictwa w ludzkiej kulturze, która wtedy jest ludzka, gdy nacechowana jest miłością pozwalającą wzrastać człowiekowi tak, by coraz pełniej doświadczał w sobie Bożego obrazu i Bożego podobieństwa. ■

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Józef – opiekun Świętej Rodziny

W dawnych czasach Żydzi zwykli, nieco inaczej niż my dzisiaj, rozumieć zaręczyny i zaślubiny. W świetle prawa zaręczeni już stanowili małżeństwo: zobowiązywali się do wierności i miłości. Jeżeli jedno z narzeczonych zmarło, wówczas drugie otrzymywało status wdowy lub wdowca. Mniej więcej po roku takiego okresu narzeczeństwa następowały zaślubiny. Polegały one na uroczystym wprowadzeniu narzeczonej do domu pana młodego i wspólnym zamieszkaniu. Na weselną uroczystość schodzili się krewni i znajomi. Jedli, pili i hulali na koszt pana młodego przez siedem dni.

Właśnie takimi narzeczonymi, czyli małżonkami bez wspólnego zamieszkania, byli pewni ubodzy ludzie z Galilei – małej prowincjonalnej krainy położonej na rubieżach ówczesnego cywilizowanego świata. Ona nosiła imię Maryja. Jego nazywano Józef. Podobnie jak ojciec zarabiał na chleb w warsztacie ciesielskim. Ostatnio pracował więcej niż zwykle, gdyż chciał odłożyć nieco grosza na kosztowne wesele. W wolnych chwilach zawzięcie majstrował zydle i inne sprzęty domowe, które miały zastąpić dotychczasowe, wysłużone i wielce sfatygowane.

Od kilku dni robota posuwała się jednak słabiej. Jego narzeczona przez trzy miesiące przebywała u krewnych w Judei i po powrocie zdawała się podejrzanie zmieniona. Józef bił się z myślami. Odganiał niejasne przeczucie, że wybranka bez jego udziału zaszła w ciążę, ale czarne myśli uparcie wracały i przysparzały coraz więcej utrapień. Najgorsze w tym wszystkim, że Maryja nic na ten temat nie mówiła, jakby w ogóle nie stało.

Józef postanowił, że póki co spróbuje niczego nie dostrzegać. – *Tak przecież nie może być zbyt długo! Co tu robić?* – pytał sam siebie, bezmyślnie strugając deskę, aż ta stała się tak cienka, że nadawała się już tylko do wyrzucenia. – *Przecież to nie moje dziecko! Powinienem jak najszybciej napisać list rozwodowy i ogłosić, że nie pozostała mi wierna. Dobrze, ale jeżeli tak uczynię, sprawa trafi do sądu i wyrok może być tylko jeden – publiczne ukamienowanie...*

Tak postąpić nakazywało Prawo, ale Józef szczerze kochał swoją narzeczoną i nie chciał przysporzyć jej okrutnego losu. Jedyne, co pozostawało, to spać i potajemnie opuścić Nazaret. Ludzie staną co prawda przeciwko niemu i już nigdy nie będzie mógł pokazać się w rodzinnych stronach, ale przynajmniej Maryja ocala życie.

Bił się bezsilnie z myślami, snuł się po domu, w nocy nie mógł zmruczyć oka. Schudł i opadł z sił. Przyjaciele oraz sąsiedzi myśleli, że głównym powodem jest przepracowanie i doradzali zatrudnić pomocnika. I wtedy zdarzyło się coś bardzo niezwykłego. Kiedy Józef pewnego ranka zdrzemnął się na zdyłu przy pokrytym trocinami stole, we śnie pojawił się Anioł. Usiadł sobie obok na drugim stołku, ostrożnie, jakby nie chcąc ubrudzić lśniącobiałej sukni. W kilku słowach wyłożył sprawę.

– *Józefie! Nie bój się wziąć do siebie Maryi. To, co w niej się poczęło, pochodzi z Ducha Świętego. Urodzi syna i nadasz mu imię Jezus...*

Słowa Anioła, bardzo dziwne i niezwykłe, nappełniły cięś głębokim zdumieniem, ale i jakimś trudnym do wy-



foto: P. Zyczeński

słowienia spokojem. Przez tyle tygodni szukał bezskutecznie podpowiedzi lub wskazówki i oto w końcu otrzymał ją. Jeżeli wcześniej miał liczne rozterki, to teraz znikły one wszystkie bez śladu. Odstawił pracę i z wielką radością, pozostawiwszy otwarte drzwi w warsztacie, pobiegł do swojej narzeczonej, by spełnić jak najszybciej polecenie Anioła. – *Przyspieszmy nasze zaślubiny! Pieńędzy na wesele mam dosyć, najwyżej goście dostaną trochę mniej jedzenia...*

Maryja nie powiedziała ani słowa, zgodnie kiwnęła głową. Wieczorem po kilku dniach odświętnie ubrany Józef w towarzystwie krewnych i najbliższych przyjaciół stanął przed domem swojej wybranki. Tam już czekali, to też szybko uformował się kilkudziesięcioosobowy orszak weselny. Radosny korowód przeszedł wąskimi uliczkami i dotarł do domu Józefa. Po zachodzie słońca rozpoczęła się uczta, zgodnie z tradycją trwała ona cały tydzień. Weselnicy nie należeli do głodomorów, toteż nikomu ani jadła ani picia nie zabrakło.

Od wesela upłynęło kilka miesięcy, które małżonkowie spędzili zgodnie, urządzając mieszkanie i przyzwyczajając się do siebie. Przygotowywali się spokojnie do narodzin dziecka, ciałem ↵

coś zmieniali w umeblowaniu i wystroju domu, aż tu gruchnęła wiadomość na całą Galileę o edykcji cesarza Augusta Oktawiana obwieszczającym wielki powszechny spis w całym Imperium Rzymskim. Jak już wspomniano, Galilea była malutką i mało znaczącą prowincją, z niewiadomych powodów tylko tu obowiązywał nakaz stawienia się do spisania nie w miejscu aktualnego zamieszkania, ale w miejscu pochodzenia. Ponieważ przodkowie Józefa pochodzili z Betlejem, małżonkowie, chcąc nie chcąc, ruszyli w drogę.

Zjawili się w Betlejem jako jedni z ostatnich. Z powodu ogromnej ilości gości przybyłych na spis wszystkie gospydy i zajazdy zostały zajęte i zapelnione do ostatniego miejsca. Wielu takich jak Józef, którym nie udało się wynająć noclegu, wałęsało się po okolicy.

– *Co robić?* – głowił się Józef. Zaprowadził małżonkę do pasterskiej groty i właśnie tam w nocy przyszedł na świat Jezus. Następnego dnia Józef zaczął rozglądać się za czymś odpowiedniejszym do zamieszkania. Małżonkowie rozważali, czy nie osiedlić się w Betlejem. Póki co, w ósmym dniu od narodzin, Jezus został obrzezany, a w dniu czterdziestym Maryja – jak nakazywała tradycja – złożyła w świątyni ofiarę ubogich, czyli dwa gołębie. Ofiara Józefa była znacznie większa, bo 5 sykli srebra, czyli odpowiednik jego miesięcznego dochodu. Taką kwotę ustalono za wykupienie pierwotnego dziecka od stanu kapłańskiego.

Wszystko szło dobrze i spokojnie, aż tu któregoś dnia pojawili się niespodziewani i nieznanzi goście. Trzech cudzoziemców o dziwnym wyglądzie, posługujących się nie mniej dziwnym językiem pochodzącym z Dalekiego Wschodu, podało się za uczonych astrologów. Dojrżeli oni tajemniczą gwiazdę na niebie i idąc za nią dotarli do Betlejem. Uznali Jezusa za wybrańca ludzkości, złożyli mu pokłon i przekazali rodzicom kosztowne dary.

Józef nie zdążył jeszcze ochłonąć po niespodziewanych odwiedzinach, kiedy ponownie pojawił się Anioł: – *Uciekaj-*

cie do Egiptu! Pozostaj tam z Rodziną, aż dam ci znać – nakazał nie znosząc sprzeciwu dobry duch. – Król Herod zaczął szukać waszego dziecka i chce je zabić!

Józef, jak wszyscy, znał okrucieństwo Heroda Wielkiego. Król ten lubował się w wystawnych budowlach i wielkich widowiskach. Aby zdobyć na te przedsięwzięcia fundusze, gnębił biednych poddanych coraz to nowymi podatkami. By dojść do władzy nie zawahał się, aby wymordować całą rodzinę. Mimo to nie zasnął spokoju i wszędzie węszył spiski. Ten niebezpieczny szalaniec był do wszystkiego zdolny i każdy, kto mógł, zawczasu ustępował tyranowi z drogi.

Józef wiedział, że ostrzeżenia anielskiego nie należy bagatelizować. Natychmiast osiadł osiołka i załadował skromny dobytek. Nie minęła godzina, jak wyruszył z Rodziną w nieznaną przyszłość, by po raz trzeci zaczynać wszystko od nowa. Po dwóch dniach dotarli do Gazy, przed nimi otworzył się najdłuższy i najtrudniejszy etap podróży, prawie dwutygodniowa wyprawa przez pustynię, w dodatku z malutkim dzieckiem.

Szczęśliwie dotarli do Egiptu i osiedlili się w wiosce położonej około osiem kilometrów od Kairu. Tymczasem szalejący Herod w ciągu kilku miesięcy wymordował w całym Izraelu prawie wszystkie pierwotne dzieci.

Gdzieś po roku przybył Anioł, poja-

wił się Józefowi już po raz trzeci, ale tym razem ostatni: – *Wracajcie do domu! Umarli ci, którzy czekali na wasze dziecko. Nie ma już Heroda wśród żywych...*

Święta Rodzina ochoczo wyruszyła w powrotną drogę, bo Egipt nie do końca spełnił oczekiwania. Wygnańcy tęsknili do rodzinnych stron. Planowali zrazu powrócić do Betlejem, ale kiedy dowiedzieli się, że w miejsce Heroda rządy objął również okrutny syn Archelaos, postanowili osiedlić się na stałe w Galilei. Osiedli zatem w starym, dobrze znanym Józefowym domku w Nazarecie.

Po raz ostatni Józef pojawia się podczas odnalezienia dwunastoletniego Jezusa w świątyni. Później Boży Opiekun znikną z Ewangelii, nie znajdziemy już o nim żadnej wzmianki. Można powiedzieć, że Józef przemknął przez Ewangelie niczym meteor: zaledwie kilka perykopy w dwóch ewangelistów, Mateusza i Łukasza. Pewne tropy podają apokryfy. Każą nam one wierzyć, że Cieśla z Nazaretu umarł w obecności Jezusa i Maryi. Miał mieć wówczas około 50 lat, co na ówczesne czasy wydawało się całkiem poważnym wiekiem.

Imię *Józef* znaczy *Dodane od Boga*. Był dla Świętej Rodziny niczym anioł – doskonałym i dyskretnym opiekunem. Zniknął po wypełnieniu swej misji.

Herbert Oleschko

CHODŹ Z NAMI BUDOWAĆ KRÓLESTWO BOŻE! Misjonarze Św. Rodziny

zapraszają młodzież męską na **Wieczniki Powołaniowe**, które zbliżą Cię do Jezusa i pomogą rozeznać wolę Bożą we własnym życiu.

A oto terminy proponowanych spotkań:

9 – 11 maja ŚWIDER k. Warszawy
16 – 18 maja BĄBLIN k. Poznania

MATURZYSTÓW, którzy poszukują własnej drogi życia, zapraszamy na **Dni Skupienia 25 – 29 kwietnia** (Kazimierz Bpi – Górka Kl.). Nim zaczniesz boje naturalne, najpierw siadaj u stóp Mistra i wsłuchaj się w Jego głos.

ZGROMADZENIE SIÓSTR M.B. LORETAŃSKIEJ

Kontemplacyjno-czynne Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Loretańskiej założył w 1920 roku w Warszawie Sługa Boży ks. Ignacy Kłopotowski. Celem Zgromadzenia jest *uwielbienie Boga, dążenie do doskonałej miłości i całkowite poświęcenie się dla zbawienia bliźnich* (Konst. Art. 3). W realizacji tego celu siostry loretańki wyróżniają się tym, że wśród różnych form służby Bogu i człowiekowi dają pierwszeństwo apostołstwu poprzez słowo drukowane i inne środki społecznego przekazu. W Polsce już od ponad 70 lat działa Wydawnictwo Sióstr Loretańek wraz z drukarnią, które – oprócz licznych książek – wydaje czasopisma: *Różaniec i Anioł Stróż*. Na ziemi włoskiej istnieje od 20 lat loretańskie Wydawnictwo Mlimesp-Docete wraz z drukarnią. Od kilku lat Loretańki prowadzą także drukarnie w Rumunii i na Ukrainie. Zgromadzenie liczy 233 siostry, w tym 209 Polek.

Apostolki słowa drukowanego

Z siostrami: **Leticją Balcerek, Anicetą Borowską i Alojzą Hornowską**
rozmawiają: **ks. Sylwester Łącki CSMA, Paweł Smogorzewski i Eugeniusz Zdanowicz**

Postać ks. Ignacego Kłopotowskiego, założyciela Zgromadzenia Sióstr Loretańek, kojarzona jest przeważnie z Warszawą, jednak korzenie duchowej formacji tego niezwykłego kapłana sięgają daleko poza stolicę, do miejsc rodzinnych, aż pod Drohiczyn...

Nasz Założyciel przyszedł na świat 20 lipca 1866 roku w Korzeniówce nad Bugiem, w parafii drohiczyńskiej. Atmosferę domu rodzinnego kształtowały głęboka religijność i wierność patriotycznym tradycjom. Ojciec Jan w *partii* ks. Stanisława Brzózki doświadczył się nawet stopnia pułkownika.

Podstawy wykształcenia otrzymał w domu rodzinnym. Dopiero w wieku jedenastu lat został wysłany do gimnazjum w Siedlecach. Bardzo wczesnie odkrył w sobie powołanie. Studia seminaryjne w Lublinie ukończył na długo przed osiągnięciem przewidzianego prawem kanonicznym wieku, w którym możliwe staje się przyjęcie święceń kapłańskich. Władze duchowne wysłały go więc do Petersburga, na dalsze studia w Akademii Duchownej. Warto w tym miejscu dodać, że wielki wpływ na przyszłego kapłana miał jego wuj – ks. Franciszek Dobrowolski, proboszcz parafii św. Katarzyny w Petersburgu.

Wkrótce przyszedł Sługa Boży zdobyty tytuł magistra teologii, a także zastąpił święceń diakonatu. Zaraz też wezwany został pilnie przez ordynariusza lubelskiego ks. bpa Franciszka Jaczew-

skiego do Lublina. Po odbyciu rekolekcji, na dwa tygodnie przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia, przyjął z rąk swego ordynariusza święcenia kapłańskie. Było to 5 lipca 1891 roku.

W jaki sposób miejscowa hierarchia wykorzystała talenty oraz znakomite i wszechstronne przygotowanie ks. Kłopotowskiego do pracy duszpasterskiej?

W istocie, obłożony pracą, która dla niejednego człowieka wydałaby się ponad siły. Był przecież wikariuszem lubelskiej katedry i kapelanem miejscowego szpitala, a także profesorem i wykładowcą macierzystego seminarium duchownego. Właśnie sprawując tę ostatnią funkcję zasłynął jako założyciel wielu ośrodków opieki nad dziećmi i ubogimi, a także jako ten, który powołał do istnienia dom dla upadłych dziewcząt. Przetrwiał on zresztą do dziś, ale pracę wychowawczą prowadzą w nim Siostry Pasterki. Założyciel powołał także do życia Lubelski Dom Zaborbkowy. W domu tym jego podopieczni, poza doradczą pomocą, mieli możliwość uzyskania takiej pracy, która pozwalała zarobić na własne utrzymanie.

Właśnie w tej kwestii ks. Kłopotowski kontaktował się listownie z ks. Bronisławem Markiewiczem, założycielem i wydawcą *Powściągliwości i Pracy* oraz założycielem dwu zgromadzeń zakonnych – michalitów i michalitek. Ks. Markiewicz był głośnym na owe czasy twórcą szkół rzemieślniczych oraz

warsztatów (w Miejscu Piastowym) dla chłopców bezdomnych i z rodzin biednych. Późniejszy Założyciel loretańek prosił w tych listach o radę, a także o pomoc w uzyskaniu – jak byśmy to dziś powiedzieli – instruktorów i wykwalifikowanych sił przygotowanych w markiewiczowskim ośrodku. Jak wiadomo, zabiegł ks. Kłopotowski go stała uwieńczenie sukcesem, a współpraca obu Sług Bożych przyniosła piękne owoce. To oczywiście, że aby można było prowadzić te wszystkie dzieła, potrzebne były środki finansowe. Książd Ignacy nie wstydził się, ani też nie wahał, osobiście kwestować na lubelskich ulicach, po których chodził, ciągnąc wózek ozdobiony wielkim napisem – *Co zbywa wam, oddajcie nam*.

W Lublinie ks. Ignacy rozpoczyna również posługę duszpasterską za pomocą słowa drukowanego...

Różnorodność i różnorodność dzieł prowadzonych przez naszego Założyciela ma swe źródło w pewnym zdarzeniu, które miało miejsce w dniu jego prymicy. Wtedy to ks. Franciszek Mazurek, kolega kursowy, miał zapytać: *Czym się Bogu odwdzięczysz za łaskę kapłaństwa?* Nasz Założyciel potraktował to pytanie bardzo poważnie, jako znak i, w pewnym sensie, także jako program. Dlatego też każdego dnia dawał odpowiedź na to pytanie i to w sposób bardzo konkretny.

Trzeba tu dodać, że w latach dzieciństwa i młodości ks. Kłopotowski-

go na Stolicy Piotrowej zasiadali papieże, którzy doskonale odczytywali znaki czasu. Bł. Pius IX, Leon XIII i św. Pius X nawoływali do popierania i rozszerzania dobrej prasy: – **Zła prasa zgubiła chrześcijańską społeczność, trzeba ją zatem przeciwstawić dobrej prasie. Katolicy nie powinni ustawać w pracy dla swojej dobrej prasy, pamiętając o tym, że dobra prasa to nieustająca misja. (...) Jesteśmy przekonani, że nasze czasy wymagają tych właśnie środków (katolickich pism) i energicznych obrońców...** – wołał papież Leon XIII. Dla młodego kapłana ten apel Następcy św. Piotra był wyrazem woli Boga co do kształtu jego życiowego programu. Doświadczenie w pracy duszpasterskiej utrwaliło w nim to przekonanie, że w szerzeniu i propagowaniu dobra niezwykle użyteczne może być słowo drukowane w postaci broszury, książki i prasy.

Pierwszym sygnałem owych głębokich przemyśleń jest katolicki tygodnik *Praca*. Czy można w tym tytule doszukać się echa Markiewiczowskiej *Powściągliwości i Pracy*, trudno dziś jednoznacznie odpowiedzieć. Choć przyszły Sługa Boży, utrzymując kontakty z ks. Bronisławem Markiewiczem, z pewnością był pod wrażeniem jego miesięcznika, a wielu jego podopiecznych i współpracowników należało przecież do *Towarzystwa Powściągliwości i Pracy*. W kilka lat później, już po tak zwanym edykcji tolerancyjnym, nasz Założyciel uruchomił dziennik *Polak – Katolik*. Tytuł owej gazety codziennej nie przypadł carskim władzom do gustu. Ks. Kłopotowski, mimo owego edyktu tolerancyjnego, przesiedział za sam ów tytuł *kilka dni pod karabinami...*

Ks. Kłopotowski szukał możliwości dotarcia ze słowem drukowanym do najróżniejszych warstw społecznych. Można by powiedzieć, że jego apostołstwo słowa drukowanego miało wyraźnie charakter stanowy...

To prawda. Do mieszkańców wsi adresowany był przecież tygodnik *Po-siew*. Miesięcznik *Dobra Służąca*, który w roku 1907 zmienia tytuł na *Pracownicę Polską* poświęcony jest każdej

pracującej kobiecie. Zarówno tę osiągniętą duchem religijnym i patriotycznym, prasę jak i tanie broszury nasz Założyciel adresował głównie do ludzi prostych. To im ks. Kłopotowski chciał przybliżyć Boga uważając, że *maszyna drukarska jest kazalnica naszych czasów*. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że mimo rozwoju najnowocześniejszych środków komunikacji społecznej ta myśl naszego Ojca Założyciela nie straciła nic ze swej aktualności, a jego słowa okazały się prorocze. Wyprzedzały one w jakimś sensie nawet konstytucję *Soboru Watykańskiego II*, który zwraca uwagę na to, że w dziele ewangelizacji współczesnego świata nie wystarczy sama ambona, że trzeba korzystać ze wszystkich dostępnych i godziwych środków przekazu.

Choć dom wydawniczy w Lublinie rozwijał się bardzo dynamicznie, to jednak w roku 1908 ks. Ignacy Kłopotowski opuszcza to miasto i przybywa do Warszawy. Dlaczego?

W Warszawie dostrzegał o wiele większe możliwości oddziaływania na cały kraj, będący przecież wciąż pod zaborami. Na początku swej działalności duszpasterskiej w Warszawie ks. Kłopotowski został przydzielony do pracy przy kościele św. Jacka, który należy dziś do Ojców Dominikanów. Później został przeniesiony do św. Anny. Tuż obok tej świątyni, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Miodowej, powstaje pierwsza drukarnia, z czasem przeniesiona na Tamkę.

Największym jednak warszawskim dziełem ks. Kłopotowskiego jest powołanie do istnienia Zgromadzenia Sióstr Loretanek. W jakich warunkach dochodzi do fundacji zakonu?

Już w wolnej Polsce, w roku 1919, ówczesny metropolita warszawski ks. Aleksander kardynał Kakowski mianował ks. Ignacego Kłopotowskiego proboszczem parafii Matki Bożej Loretanckiej przy kościele św. Floriana na Pradze. W owym czasie była to parafia obejmująca ogromne obszary prawobrzeżnej Warszawy. Nowo mianowany

proboszcz od razu rzuca się w wir działalności charytatywnej. Sprawadza do pracy w noclegowniach dla najuboższych braci albertynów i siostry albertynki. Gdy zaś chodzi o nasze Zgromadzenie, to jego powstanie jest w znacznym stopniu wyrazem spełnienia osobistego ślubu Ojca Założyciela. Kiedy bowiem podczas obłożnej choroby był zagrożony amputacją nogi, w gorącej modlitwie upraszał Bogarodzącę o przywrócenie zdrowia. Ślubował wówczas, że za jego ocalenie wywdzięczy się fundacją zakonną. Szczególny zaś kult, którym darzył Matkę Boską Loretancką, znalazł swój wyraz w nazwie nowopowstałego Zgromadzenia.

Pierwsze loretanki składają śluby zakonne 31 lipca 1920 r. W dwa tygodnie później, na przedpolach Warszawy, zostanie stoczona wielka bitwa, która na dwadzieścia lat odsunie bolszewicką nawałę na Polskę i całą Europę. Czy ten fakt odnotowują zakonne kroniki?

Wiemy, że ks. Kłopotowski znalazł się z poległym w Bitwie Warszawskiej kapłanem Legii Akademickiej ks. Ignacym Skorupką. W archiwum pamiętek po Założycielu zachował się m.in. obrazek prymicyjny tego bohaterskiego kapłana, który przechowywany był w brewiarzu. Widnieje na nim notatka – *Poległ pod Radzyminem...* – której autorem był nasz Założyciel.

To nie jedyna ważna w dziejach Polski osoba, z którą łączyły ks. Kłopotowskiego bliskie więzi. Oświęcimski męczennik o. Maksymilian Kolbe był przez jakiś czas jego spowiednikiem. Przyjaźnią darzył go również nuncjusz apostolski w Polsce monsignore Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI (w latach 1922 – 1939). To właśnie on, wspólnie z ks. Kłopotowskim uczestniczył w projektowaniu naszego stroju zakonnego. Dlatego do dziś na naszych welonach nosimy znak oddania Stolicy Apostolskiej – biały, równoramienny krzyżyk z żółtą obwódka.

Nuncjusz zachęcał Księdza Ignacego, aby ten nie ustawał w działalności wydawniczej. Nie bez powodu mówi się więc o naszym ☞



Figura Matki Bożej Loretanckiej w Sanktuarium w Loretto koło Wyszki



Sługa Boży ks. Ignacy Kłopotowski



Sarkofag Sługi Bożego w Sanktuarium w Loretto



Widok Sanktuarium Matki Bożej w Loretto koło Wyszki



Msza św. przed figurą Matki Bożej Loretańskiej



Liturgia Słowa



Na modlitwie

Zgromadzenie Sióstr MB Loretańskiej

fol. Archiwum Sióstr



Przygotowanie materiałów do druku



Skład komputerowy



fol. P. Życieński

Przy maszynie falcującej



Przy stole montażowym



Posługiwanie chorym i sędziwym



Praca z dziećmi



Siostry z dziećmi na wycieczce w lesie



Wspólna rekreacja sióstr

Zgromadzeniu, że jesteście apostołkami słowa drukowanego...

Wśród innych form naszej służby Bogu szerzenie Dobrej Nowiny za pomocą słowa drukowanego wydaje się być najważniejsze. Pamiętamy jednak, że jesteście również posłane, aby wychowywać dzieci i młodzież, prowadzić edukację, pełnić posługę w parafiach. Jako Zgromadzenie kontemplacyjno-apostolskie, tworzone na wielkiej tradycji duchowości benedyktyńskiej, łączymy modlitwę i pracę tak, *aby we wszystkim Bóg był uwielbiony*. I właśnie to w pełni wyraża nasze zakonne hasło.

Prowadzenie drukarni i oficyn wydawniczych, pracujących na potrzeby Kościoła w Polsce, było komunistycznym władzom solą w oku. W jaki sposób przetrwałyście ten tragiczny czas?

Szczęśliwie z wojennej zawieruchy wyszliśmy właściwie bez szwanku. To swoisty cud. Nie zginęła żadna z sióstr, chociaż na skalę swoich możliwości prowadziły czynny opór przeciwko okupantom. W budynku naszej drukarni na warszawskiej Pradze, gdzie dzisiaj mieści się dom generalny, odbywały się tajne komplety, mimo że stacjonowali tam Niemcy. Jakiś czas prowadzono u nas również wykłady dla studentów podziemnego seminarium duchownego, których uczestnikiem był obecny biskup senior diecezji warszawsko-praskiej Zbigniew Kraszewski.

W Loreto pod Wyszokowem siostry ukrywały Żydów. Stamtąd też, na pomoc oddziałom partyzanckim, szły nasze siostry sanitariuszki. W latach czterdziestych, a przede wszystkim w pięćdziesiątych, wyremontowana po działaniach wojennych drukarnia (wśród szalejącego ucisku, wszechwładnej cenzury, drastycznego ograniczania nakładów papieru) nie mogła osiągnąć pełni mocy produkcyjnej. Najbardziej siostry przeżyły zamknięcie, w 1953 roku, *Kółka Różańcowego* oraz zamknięcie i oplombowanie przez milicję całej drukarni w latach 1957 – 1958, a więc po tzw. *odwilży październikowej*. Do tych posunięć doszło, dlatego że siostry odmówiły współpracy z komunistycznymi władza-

mi. Był to jawny dowód, że wraca *stare*, a zmienia się tylko front walki z Kościołem. Maszyny poligraficzne, zamiast drukować książki i czasopisma, zbierały kurz... W zaplombowanej zecerni pozostała wtedy zamknięta figura św. Józefa, która dzisiaj znajduje się w naszej kaplicy. Zeby nie poddawać się zwątpieniu i aby podtrzymać ducha w *areszcie*, nie będzie... próżnował, lecz wraz ze zmarłym Założycielem stanie się naszym potężnym Orędownikiem u Najwyższej Instancji w niebie. Przypominały też słowa naszego Ojca: – *Nie martwcie się, gdy umrę, bo wtedy będę mógł więcej u Boga wyprosić, więcej się będę wami zajmował...*

Pan Bóg wyraźnie czuwał nad nami. Mimo iż szykany trwały, z mniejszym lub większym natężeniem, właściwie przez cały okres PRL-u, aż do upadku komunii, udało się nam wytrzymać przy apostołstwie słowa drukowanego.

Prześladowania, które przeszedł Kościół, najbardziej odcisnęły się na rodzinach zakonnych. Niektóre męskie zakony przetrwały wyłącznie w oparciu o parafie...

Nie znaczy to, że loretanki miały lepiej. Wciąż poddawane byłyśmy różnorakim szykanom i uciążliwym kontrolom, choćby pod pretekstem sprawdzenia czy nie wydajemy przypadkiem czegoś poza państwową cenzurą. Ów czas, pełen niepewności o dzień jutrzejszy, upamiętnił Prymas Tysiąclecia. Ks. Stefan kardynał Wyszyński w swych *Zapiskach więziennych*. Notując pod datą 4 lutego 1955 roku, pisał: *Wrócił ksiądz Stanisław z widzenia ze swoim ojcem i przwiózł Directorium na 1955 rok. Ja nie mogę doprosić się o warszawską Rubrycellę, chociaż ponawiałem prośbę kilkakrotnie. Z Directorium dowiadujemy się przynajmniej tyle, że Ojciec Święty żyje, że KUL nadal działa, skoro są ogłoszone tacki, i że drukarnia Loretańska nadal przyjmuje prace kościelne do wykonania...*

A jak obecnie wygląda działalność loretańskiego Zgromadzenia?

Wciąż pragnąc naśladować nasze-go Założyciela, który nigdy nie szczędził sił, aby nieść ludziom potrzebującą pomoc duchową i materialną – staramy się krocząc wyuczoną przez niego drogą. Służymy osobom starszym w prowadzonych przez nas domach opieki. Jesteśmy także otwarte na potrzeby najmłodszych. Stąd chociażby nasza świetlica środowiskowa pod nazwą *Dom Ojca Ignacego*. Świetlica ta służy najbardziej potrzebującym dzieciom z warszawskiej Pragi. Mieści się w budynku dawnej drukarni Zgromadzenia. Natomiast, spełniający wyzwania współczesności, nowy dom wydawniczy udało się nam wznieść w Rembertowie. Dzięki temu możemy nadal realizować także ów, wyróżniający nas wśród żeńskich wspólnot zakonnych, charyzmat apostołowania słowem drukowanym.

Od pewnego czasu loretanki przestały już być wyłącznie polską wspólnotą zakonną...

Pełnimy również posługę misyjną poza granicami Polski. Jesteśmy obecne w Szwajcarii, Rosji, USA, na Ukrainie, we Włoszech, w Rumunii.

To swoisty paradoks, ale wydaje się, że tam niezwykle pomaga Siostrom ów znak wierności Stolicy Apostolskiej, który nosicie na swoich kornetach w postaci białego, równoramiennego krzyża z żółtą obwódką...

To prawda, że na Wschodzie jesteśmy bardzo dobrze przyjmowane, może dlatego, że Zgromadzenie ma dwa obrządki: łaciński i grekokatolicki. Ułatwia to ogromnie pracę na przykład na terytorium Rumunii, bo diecezja Maramareș, gdzie objęliśmy niewielką drukarnię, zamieszkuje ludność w większości grekokatolicka. Zresztą panuje tam prawdziwie ekumeniczna atmosfera. Znakomicie dogadują się z naszymi siostrami także miejscowi prawosławni i protestanci.

Dziękujemy Siostrom za rozmowę.

Rozmawiali: ks. Sylwester Łącki, Paweł Smogorzewski i Eugeniusz Zdanowicz

REPORTAŻ

(cz. 3)

Porażenie mózgowe dziecięce objawia się bardzo różnie i z różnym nasileniem. Niektórzy mają niedowład jednej ręki, a inni nie są w stanie nic zrobić samodzielnie. Ewa mówi, że miała szczęście – cierpi na spastyczne porażenie nóg i częściowo rąk, z przewagą porażenia lewej strony ciała. Porusza się na wózku, ale może sama jeść, sama się ubrać, umyć... Umysł ma całkowicie sprawny, a zdarza się, że choroba ta upośledza także umysłowo. Poza tym urodziła się w Warszawie – gdyby mieszkała w małym mieście czy na wsi, mogłaby podzielić losy setek dzieci, które nigdy nie były rehabilitowane, nie uczyły się. Niektóre z nich są ukrywane przez swoich rodziców w domach, jakby były jakimiś potworami...

Na kółkach z uśmiechem

Magdalena Malinowska-Orfinger

Walka z własną słabością

Słyszy się nieraz opinie, że wielu ludzi niepełnosprawnych nie może spełnić swoich marzeń, gdyż nie pozwala im na to upośledzenie. Ewa uważa, że przyjęcie takiego punktu widzenia przekreśla wiele z szans i możliwości, które mają. Skoro oni sami nie wierzą, że mogą przełamać własne ograniczenia, to rzeczywiście nie uda im się to. Jeśli by tylko choć trochę wierzyli w siebie, podjęli walkę ze swoimi ograniczeniami i słabościami, z pewnością – zdaniem Ewy – odnieśliby sukces. Wiele razy w jej doświadczeniach potwierdziła się ta opinia. Jeżeli wbrew wszystkim przesłankom, wbrew opinii innych osób, starała się czegoś dokonać i mocno o to walczyła, to zawsze w końcu jej się udawało.

Ewa mówi, że osoby niepełnosprawne po pewnym czasie przyzwyczajają się do swoich ograniczeń, traktują je jako integralną część swojego życia. Jednakże przyzwyczajanie nie zawsze równoznaczne jest z akceptacją. Przyzwyczajamy się do wielu rzeczy czy sytuacji, nie znaczy to jednak wcale, że zgadzamy się na nie, że jesteśmy zadowoleni. Wiele niepełnosprawnych osób poddaje się. Są bierni, nie chcą zrobić nic, aby

zmienić swój los, bo sądzą, że i tak im się nie uda. Niektórzy zamykają się w sobie, stają się złośliwi i nieprzyjaźni. *A przecież to, jakie jest nasze życie, zależy przede wszystkim od nas* – mówi Ewa.

Jako nastolatka Ewa przeszła okres buntu. Uważa, że wtedy zrodziła się w niej potrzeba i chęć walki z ograniczeniami – zarówno wewnętrznymi, jak i tymi na zewnątrz – z nieprzystosowanymi mieszkaniami, z krawężnikami, z bezdusznymi urzędnikami.

Jej zdaniem *zaakceptować siebie* – to mieć świadomość własnego człowieczeństwa, własnej podmiotowości. Konieczna jest przy tym oczywiście rzetelna ocena własnych możliwości i ograniczeń. Osoba jeżdżąca na wózku nigdy nie będzie baletnicą. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, aby, korzystając z pomocy innych, tańczyła.

Ewa bardzo lubi tańczyć. Partner trzyma ją za ręce i ciągnąc lub odpychając powoduje, że wózek się porusza. Łatwo się tego nauczyć. Trzeba jednak bardzo uważać na innych tańczących. Rozpędzony wózek trudno jest zatrzymać i może czasem zrobić innym krzywdę.

Ewa nie wie, czy zaakceptowała sie-

bie w pełni. Każdego dnia musi przypominać sobie taką, jaka jest. Czasem jest to dla niej bardzo proste, czasem całymi dniami nie umie sobie z tym poradzić. Wpada wówczas w chandrę, którą udaje się jej przełamać z wielkim wysiłkiem.

Uważa, że lekarstwem na smutek i napady pesymizmu jest działanie. Zdecydowała się ukończyć kurs komputerowy, który pozwolił jej podjąć pracę, najpierw w *Fundacji Karta*, a teraz w Laboratorium Kosmetycznym *dr Irena Eris S4*. Ma własny komputer i modem, dzięki czemu może pracować w domu.

Nauczyła się jeździć konno, chodzi na polowanie ze znajomym myśliwym w podsuwalskich Wizajnach. Kiedyś poszła z nim i kilkoma innymi przyjaciółmi do pubu na piwo. Dla wygody nie brali wózka – wnieśli Ewę do samochodu a potem do baru, w środku posadzili na krześle i to siedzenie wyglądało zupełnie naturalnie. Kiedy chcieli wychodzić, znajomi zaczęli żartować: *Ewka, znów się upiłaś, znowu musimy cię wynosić...* Zaciekawieni klienci baru zaczęli przyglądać się im z niedowierzaniem. Gdy jednak kolega wzię ją na ręce i ruszyli w stronę wyjścia, wszyscy oślepili z wrażeń.

Boli ją, że ludzie niepełnosprawni są często postrzegani przez *normalnych* jako słabi, niezaradni życiowo, uzależnieni od innych, pokrzywdzeni przez los. Samo słowo *niepełnosprawność* budzi u wielu przykre odczucia. Kojarzy się z chorobą, tragedią, smutkiem. Ewa pamięta z dzieciństwa, że nieraz przypadkowo napotkali ludzie patrzyli na nią ze współczuciem, a nawet z litością, mówili: *Biedna, nieszczęśliwa dziewczynka, taki zły los ją spotkał*. Czasem zdarza się jej to także teraz. Kiedyś pewna kobieta podeszła do niej i oznajmiła ze zdziwieniem: *Nie wiem, jak to się dzieje, że jesteś taka pogodna, często się śmiejesz, pomimo że poruszasz się na wózku inwalidzkim*. Miała wówczas ochotę odpowiedzieć, że ona ma tylko porażone nogi, a nie mięśnie twarzy. Wtedy właśnie zdała sobie spr-

wę, jaki smutny obraz osób niepełnosprawnych nosi w sobie polskie społeczeństwo.

Nie twierdzi, że jej niepełnosprawność nic dla niej nie znaczy. Często odczuwa jej skutki, na co dzień boryka się z wieloma wynikającymi z niej przeszkodami. Dojazd w jakieś bardziej oddległe miejsce – nawet w Warszawie, nie jest dla niej prosty, szczególnie teraz, gdy *TUS (Transport Usług Specjalnych* – firma zajmująca się transportem osób niepełnosprawnych) boryka się z problemami finansowymi i ogranicza liczbę samochodów, oraz podnosi ceny.

Nieraz nawet urzędnicy instytucji stworzonych z myślą o osobach niepełnosprawnych piętrzą przed nią problemy. Tak było sześć lat temu, kiedy starała się o dofinansowania z *PFRON*-u na modernizację swojego mieszkania. Chciała wówczas przystosować kuchnię, zainstalować blaty, obniżyć kuchenkę, zlewozmywak i szafka kuchenne tak, aby mogła samodzielnie funkcjonować, chciała też przystosować łazienkę (przede wszystkim obniżyć wannę). Od złożenia wymaganych dokumentów minęły 3 lata. Wówczas teoretycznie Ewie przyznano środki finansowe na modernizację mieszkania. Nie mogła jednak spełnić wymagań stawianych przez *PFRON*, poza tym urzędnicy mieli własną koncepcję przeznaczenia tych środków finansowych. Między innymi proponowano jej kupienie specjalnej wanny za... 20 tysięcy złotych lub – ponieważ Ewa mieszka na pierwszym piętrze bloku, w którym na parter, gdzie znajduje się winda, można się dostać pokonując jedynie 8 schodów – windy na korbkę, która opuszczałaby ją z balkonu na ogródek sąsiada. W ogóle nie brano pod uwagę, że Ewa ma inne plany wydania tych pieniędzy. W konsekwencji pieniądze przepadły.

W końcu, kiedy już zupełnie przestała na to liczyć, finanse zostały jej przyznane po raz kolejny. Tym razem udało się z nich skorzystać. W sumie

musiała na nie czekać 5 lat. Jednakże remont i tak nie został wykonany ściśle według jej życzeń. Wykonawca miał bowiem swoje własne pomysły i tylko część z nich konsultował z Ewą.

Dla osób niepełnosprawnych bardzo ważne jest systematyczna rehabilitacja. Dzięki niej mogą utrzymać swój orga-



fat. P. Zycieński

nizm w maksymalnej sprawności. Krótka nawet przerwa w ćwiczeniach może spowodować, że nie będą umieli wykonać prostych czynności. O taką systematyczną rehabilitację, jeśli nie opłaca się jej własnymi pieniędzmi, nie jest łatwo. Ewie na przełomie 2001 i 2002 roku przyznano indywidualne zajęcia. Co kilka dni przez trzy miesiące przychodził do niej rehabilitant i prowadził

z nią ćwiczenia w domu. Na początku nie była w stanie zgiąć nóg w kolanie pod kątem prostym, pod koniec rehabilitacji było to możliwe. Sprawność jednak bardzo szybko zanika, dlatego Ewa jeszcze podczas tej rehabilitacji zaczęła się starać o turnus rehabilitacyjny w Konstancinie pod Warszawą. Czeka się na niego około 6 miesięcy... Gdyby miała więcej wewnętrznej dyscypliny i potrafiła zmusić się do samodzielnych ćwiczeń, byłoby jej znacznie łatwiej utrzymać kondycję. Zna wiele osób, które dzięki regularnym, samodzielnie prowadzonym ćwiczeniom potrafią same jeździć wózkami. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że każdy ma indywidualne możliwości i ograniczenia i pewnych rzeczy nie da się *przeskoczyć* – choćby ćwiczyła bardzo ciężko i starała się z całych sił, niesprawność lewej ręki sprawia, że samodzielnie może pokonywać wózkami jedynie niewielkie odległości.

Wózek inwalidzki osobie niepełnosprawnej przysługuje co pięć lat. Oczywiście, po tak długim czasie eksploatacji jest on całkowicie zniszczony – to tak, jakbyśmy nosili przez pięć lat jedną parę butów. Zdobycie nowego wózka nie jest zadaniem prostym. Za każdym razem Ewa musi toczyć boje z urzędnikami, aby przyznali wózek, który byłby dopasowany do jej wzrostu i wagi. Nigdy jeszcze nie wygrała – za każdym razem nowy wózek trzeba domowymi sposobami dostosowywać do jej potrzeb. Urzędnicy tłumaczą, że taki wózek, jaki Ewa by chciała, kosztuje kilka tysięcy złotych i oni nie mogą jej takiego przyznać.

Na początku 2001 roku firma, w której Ewa obecnie pracuje, dała jej 14 tysięcy złotych na nowy wózek. Kupiła za nie wózek elektryczny. Dzięki niemu może sama pojechać na spacer, pójść do sklepu czy gdziekolwiek indziej, niestety tylko teoretycznie, ponieważ schody na klatce schodowej stanowią barierę nie do pokonania.

Cdn.

Próbnych wysiedleń ludności Zamojszczyzny hitlerowcy dokonali już w listopadzie 1941 r. Natomiast w grudniu 1942 r. przystąpili do masowych wysiedleń. Od zbrodni tej upłynęło więc dokładnie 60 lat. Początkowo władze okupacyjne nie zezwoliły **Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO)** (jedyną polską instytucji, której oficjalnie wolno było koordynować i organizować pomoc dla rodaków) na udzielanie pomocy wysiedlonym. Ani podczas ich transportu do obozów, ani w trakcie pobytu. Agendy i placówki **RGO** mogły dopiero objąć opieką tych z wysiedlonych, których Niemcy po jakimś czasie przewieźli na odleglejsze od Zamojszczyzny tereny **Generalnej Guberni**. W końcu lutego 1943 r. w Dystrykcie Warszawskim przebywało już ponad 4 tysiące wysiedlonych, w tym 1070 dzieci. Byli to przede wszystkim ludzie niezdolni do pracy przymusowej na terenie Niemiec, a więc dzieci, starcy i chorzy. Pierwszą osobą, która, po trafieniu na ślad dzieci z Zamojszczyzny, przywozła dwie ich grupy do Warszawy, korzystając z moralnego i realnego wsparcia ze strony swoich zwierzchników ze *Spolem*, była **Marianna (z domu Jeruzal) Fandry**, używająca wówczas imienia **Janina Dębska**.

Dzieci Zamojszczyzny (cz. 2)

Wspomina Marianna Fandry, działaczka *Spolem* i żołnierz AK

Po trzech dniach przyszło do *Spolem* gestapo z imiennym papierkiem dla mnie. Miałam się natychmiast stawić w pałacu Bruhla (gdzie mieściła się siedziba gubernatora L. Fischera i naczelnych władz Dystryktu Warszawskiego), żeby się wytłumaczyć, na czym polegać i dlaczego przywozłam dzieci itd. Oczywiście ze *Spolem* prędko mnie *przerzucono* do *Szklanych Domów* na Żoliborzu.

W *Spolem* zatrudniony był pułkownik **WP** o nazwisku Zieliński, którego zadaniem było załatwianie wszystkich spraw z Niemcami i kiedy to było możliwe, także *wyciąganie* z gestapo pracowników, którzy zostali aresztowani. Niemcom zależało na *Spolem*, bo myślny żywili armię niemiecką. Mieliśmy przecież ogromne magazyny żywności. Na drugi dzień przyszło kolejne wezwanie, ale już mnie wywieziono dalej w bezpieczne miejsce, poza Warszawę. W tym wezwaniu grożono, że jeśli się nie stawię, to przyjdą po mnie osobiście.

Wówczas prezes Rapacki wysłał do pałacu Bruhla p. Zielińskiego. Jak się potem dowiedziałam, to poza ogromną ilością żywności prezes zapłacił za mnie Niemcom gotówką 250 tys. zł (a było to ogromne pieniądze!). Za to, żeby mnie zostawili w spokoju. Ale Marian Rapacki doskonale wiedział, że ja już byłam po więzieniu i występowałam pod fałszywym nazwiskiem. Wywieziono mnie pod Dwikozy, bogatą wieś, gdzie *Spolem* miało wytwórnę marmo-

lad. Musiałam tam przesiedzieć prawie miesiąc, do czasu aż załatwili z Niemcami moje sprawy. Kiedy wróciłam, gestapo zapowiedziało już **RGO**, że do Warszawy nie wolno przywieźć nikogo więcej z wysiedlonych. Zaś dyr. Janowi Starczewskiemu i dr. Łąckiemu powiedziano, że otrzymają przepustkę dla karetki, którą mają pojechać w teren i zorientować się, jak wygląda tam sytuacja wysiedlonych z Zamojszczyzny. Przywieźli oni stamtąd siedemnaścioro dzieci w bardzo ciężkim stanie. Podczas tego objazdu byli, m.in. w Garwolinie, Łaskarzewie, Mińsku Mazowieckim i Kaluszyńce.

Gestapo zażądało, żeby **RGO** utworzyło *koła*, którym wolno się będzie opiekować (ale tylko w terenie!) wysiedlonymi. A ponieważ *to właśnie Spolem odkryło* dzieci z Zamojszczyzny i dowiozło je do Warszawy – dostało jako swój przydział *Koło* nr 1, dla przesiedlonych do Kaluszyńca, Cegłowa, Mrozów itd. Inne polskie instytucje dostały kolejne przydziały. Każda z nich miała się opiekować wysiedlonymi na przyznanym sobie terenie. Do przyznanego nam Kaluszyńca pojechała ze mną Krystyna Lichaczewska, Leon Marszałek i jeszcze ktoś. Stanowili oni komisję, która miała się zapoznać z tamtejszymi potrzebami.

Kaluszyn był wtedy miasteczkiem z drewnianymi domkami (zamieszkałymi przed wojną przeważnie przez Żydów) które stały opuszczone, bo powy-

żożono ich właścicieli. Mieszkania w tych domach były niesamowicie brudne. Komisja wróciła do Warszawy. Ja pozostałam na miejscu. Przyjął mnie miejscowy proboszcz i zakwaterował u siebie. Zaczęłam organizować pomoc. *Spolem* przywoziło mi wtedy z Sokółowa i Węgrowa mąkę, kaszę, tłuszcz – no i pieniądze. Urządziłam tam taką *garkuchnię*, gdzie w kotle gotowało się tzw. *Eintopfgericht*. Każdy z wysiedlonych mógł tam otrzymać ciepłe jedzenie. Współpracowałam z lekarzem powiatowym (który był lekarzem dyspozycyjnym **Armii Krajowej**). On pomógł mi założyć Izbę Chorych – taki szpitalik dla tych dzieci. Te dzieci często chorowały na jaglicę, ale przede wszystkim cierpiały na świerzb: bywało, że całe ich podbrzusza były jedną raną! *Spolem* przysyłało mi wtedy całe wiadra maści tranowej, bo nasz doktor powiedział: – *Nie możemy teraz zastoso-ować maści przeciwświerzbowej, musimy dać najpierw maść tranową, aby podgoić rany...*

Obeszłam wszystkie mieszkania, gdzie zakwaterowano przesiedlonych. Ustaliłam, że są wśród nich chorzy na tyfus plamisty. Chorzy mieli ponad 40 stopni gorączki. Gdy dosłownie *za głowę* złapałam lekarza miejskiego, usiłował mi wmówić, że jestem za młoda, aby móc rozpoznać objawy tyfusu plamistego. Powiedziałam wtedy: – *Jeśli w tej chwili nie zadzwoni pan do Mińska Mazowieckiego, żeby karetki poza-*

bierały chorych na tyfus, to ja natychmiast dzwonię na żandarmerię niemiecką, zamelduję o tyfusie i o pańskiej niechęci do działania! – Dopiero wtedy, gdy się na dobre przestraszył, przywołał karetki. Chorych na tyfus wywieziono. Dzięki moim staraniom do Mińska Mazowieckiego zabrano też, na polecenie lekarza powiatowego, te dzieci, które miały powijadane przez wszy mięśnie. W szpitalu chirurgicznie usuwano im te wszy. Na burmistrzu wymogłam, żeby przysłał piec do dezynfekcji ubrań, aby to, co się da, móc uratować.

A z Warszawy też już mi poprzysyłałi spodnie, koszule itp. Przesłali mi też dużo lizolu. Spryskiwałam szprycą po kolei mieszkania wysiedlonych, potem nakazałam im jeszcze pomóc pomieszczenia. Jako harcerka znalazłam różne metody dezynfekcji i dezynsekcji. Jedno z pomieszczeń zamieniłam na łazienkę. Na lince u sufitu zawiesiłam konewkę. Każdego ze starych ludzi goliłam we wszystkich miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy.

W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy. W balii szarym mydłem każdemu myłam głowę i całe ciało. Tak wymyściłam wszystkim miejscach, gdzie miał wszy.

Dla dzieci przebywających w miejscowym szpitaliku kupowałam białe pieczywo, masło i mleko. Dla pozostałych była na razie w garkuchni gotowana kawa zbożowa. Potem przysłali mi



foto: P. Zieliński

tyłe żywności, że na poszczególne domki dawałam suchy prowiant, a w kotle gotowało się raz dziennie gorący posiłek dla wszystkich. Na terenie Kaluszyńca utworzyłam jeszcze przedszkole – przydzielono mi młodą osobę, która była w *podziemiu* i musiała się ukrywać. Ona poprowadziła to przedszkole, a ja przyjeżdżałam później tylko na kontrole. Pilnowałam, czy wszyscy otrzymują prowiant i czy nikt nie rozkrada tej żywności oraz środków na utrzymanie wysiedlonych. Jeździłam m.in. do Cegłowa i Mrozów, gdzie kierownik szkoły o nazwisku Wolf prowadził koło **Czerwonego Krzyża** i z jego ramienia opiekował się wysiedlonymi. On mi tylko referował, ile ma osób pod opieką. Ja zaś dawałam mu pieniądze na mleko, na pieczywo i inne potrzeby dzieci.

Potem przydzielili nam jeszcze Garwolin. Pojechałam tam, żeby zrobić dezynfekcję i przegląd, podobnie jak w Kaluszyńcu. Wysiedleni z Zamojszczyzny zasiedlieni byli przez Niemców także w okolicach Garwolina w kilku miejscowościach, m.in. w pożydowskich domach w Parysowie. Ale w Garwolinie miałam już sytuację łatwiejszą, bo tamtejsi ludzie bardzo chętnie przychodzili mi pomagać. Tam była *myłkwa*, przez którą musiał przejść każdy z podopiecznych. Gdy czasami robiło mi się niedobrze od ilości wesz, z jaką przyszło mieć do czynienia, starano się mną troskliwie zaopiekować i odciążyć od obowiązków, nawet od tych najcięż-

szych i najbrzydlivszych. Wiedziałam, że tam naprawdę mogę liczyć na ludzi. W Garwolinie powstał też w Komitecie Pomocy, któremu bez zastrzeżeń mogłam powierzyć suchy prowiant i pieniądze na mleko dla dzieci. I także na inne potrzeby wysiedlonych...

Taką działalność prowadziliśmy do wybuchu *Powstania Warszawskiego*. Dzieci zostały rozlokowane w różnych domach i placówkach opiekuńczych. Do dnia dzisiejszego mam z niektórymi kontakty. Mam dawnych podopiecznych w Białymstoku, w Hrubieszowie, w Gozdowie; jeden mieszka w Warszawie. Zapraszają mnie i wielokrotnie jeździłam do nich w odwiedziny.

Kiedy wybuchło *Powstanie*, to dzieci z domu sióstr urszulanek na Tamce i od księżki salezjanów z Powiśla zostały wyprowadzone z Warszawy i wywiezione dalej w bezpieczne miejsca, m.in. do Zakopanego. Po wojnie część dzieci, która figurowała w spisach **PCK**, odnalazła swoich bliskich. Inni podopieczni, np. dzieci oddane indywidualnie pod opiekę warszawiaków bywały potem niekiedy przez swoich opiekunów tak głęboko *zakonspirowane*, że jedynie przypadkiem mógł je rozpoznać na ulicy ktoś z rodziny.

Pewnego dnia **Główna Komisja do Badania Zbrodni Hitlerowskich** zaprosiła mnie w swój skład. I tam przysłuchiwałam się różnym relacjom dotyczącym wysiedleń z Zamojszczyzny. Niemcy nawet nie przypuszczali, że partyzanci mogą starać się opanować pociąg z wysiedlonymi. Gdy tak się stało, po zlikwidowaniu eskorty, otworzono wagony, a te – nie ogrzewane, stałe zamknięte – były wtedy *w ruchu* już od sześciu tygodni, zaś jadącym nimi nieszczęśliwcom nie podano jedzenia, to okazało się, że z głodu jeszcze żyjący wyjadali miękkie części nie zeszytniałych na mrozie ciał (!!!). To, co wówczas opowiadano przed **Komisją**, często przekraczało wszelką wyobraźnię cywilizowanego człowieka...

Za nic nie wolno dopuścić do zepchnięcia w niepamięć podobnych zbrodni!!!

Zanotował: Cezary Bunikiewicz

OKIEM ŻUKA

Referendum,
jak dum-dum

Odzywają się ze strony lewicy głosy dotyczące ewentualnego referendum w sprawie zmiany ustawy aborcyjnej na idącą w kierunku zapotrzebowania tych, którzy chcą sobie niegodnie ułatwić życie. Rozumieni referendum w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej. Pytamy naród czy chce, ale tu i jedno i drugie wyjście nie narusza moralności ani nie narusza zasad prawnych, ani żadnego z Bożych Przykazań. Referendum można organizować na takie właśnie tematy, które w wyniku odpowiedzi tak lub nie, ewentualnie za lub przeciw dają do wyboru to, co godzi się wybrać bez względu na stanowisko i odpowiedzi pytanym.

Tymczasem referendum w sprawie aborcji przypominać by mogło referendum w sprawie takiej: czy uważasz że wolno kraść samochody? Tak czy nie? Ostatecznie nie musimy tego nazywać kradzieżą, można uznać sprawę przedstawianą inaczej: czy wolno użyć znalezionej samochodu i uznać go za mienie porzucone? Znalezionej samochód to stojący na ulicy bez kierowcy lub pasażera. Tak, jak teczka czy paczka, bądź portfel zgubiony na ulicy można podnieść i zabrać, ewentualnie domagać się znalezionej. Więc i każdy pusty samochód może być uznany za porzucony, bo nikt się nim nie opiekuje, a przy pomocy posiadanych urządzeń otworzyć go i odjechać nim w siną dal. Po czym używać samemu lub go sprzedać.

Powiedzmy, że w referendum większość opowie się za zezwoleniem na zbieranie znalezionych samochodów. Jeśli więc większość opowie się za prawem, to czy bezprawie zostaje uzasadnione dlatego, że tak zechciała większość? Znaczyliby to, że większość albo jest złodziejami albo kandydatami

na złodziei lub złodziei popiera. Czy mniejszość, która była przeciwna, ma teraz z czystym sumieniem kraść czyli przywłaszczać sobie cudze samochody?

Argument referendarzy jest taki: rozwiń się podziemie aborcyjne... I w ten sposób się je ukróci. No właśnie, to tak jakby legalizując kradzież samochodów rozwiązywał problem, ponieważ nie będzie kogo za to ścigać i policja będzie miała więcej czasu na ściganie złodziei czego innego, a nie samochodów, względnie tylko innych rabusiów i morderców. Sama korzyść!

Międzynarodowe konwencje (Czerwony Krzyż) zabraniają użycia na wojnie pocisków dum-dum. Jest to bowiem niehumanitarne. Nieprzyjacieli nie tylko jest zraniony, lecz także straszliwie okaleczony. Miejsce wlotu pocisku ma milimetry średnicy, wylot może być wielkości talerza.

Wyobraźmy sobie, że zorganizuje się referendum na temat tego, czy można używać pocisków dum-dum i strona dum-dumowa wygrywa: można! Czy przez to usuniemy z tego rodzaju broni jej niehumanitarności dlatego, że niehumanitarności stała się legalna?

Czy znów nie przypomina to rozumowania zwolenników referendum aborcyjnego? Nawet strona proaborcyjna uważa, że aborcja jest nieszczęściem a nawet złem, ale... wybiera się mniejsze zło poprzez jej dokonanie, bo większym złem byłaby – jak pisze pewien tygodnik –

panna z brzuchem, (bo) zostanie wyrzucona poza margines tego zakłamane patriarchalnego społeczeństwa... Wynik a l o b y z tego, że aborcję stosuje się dla zadowolenia społeczeństwa czy dla uspokojenia społeczeństwa,

ale nie ze względu na osobę aborcjonowaną.

Tysiące małżeństw zawiera się z kobietami, które już mają dziecko czy dzieci małżeńskie czy pozamałżeńskie. Tłumaczenie ostracyzmu społecznego jest fałszywą wymówką. Właściwy powód – jak pisze inny czytelnik tego tygodnika – to taki – że unika się obowiązków wynikających z wychowania dziecka!

Co do podziemia aborcyjnego to jest ono tylko półpodziemem, o czym łatwo przekonać się z ogłoszeń. Proaborcjonisci walczą więc właściwie o cenę wykonywania aborcji. Niedowład prawnym w kwestii przestrzegania prawa w tej mierze obowiązującego jest karygodny.

Inny argument: nie przestrzegane prawo należy znieść. Niestety nie przestrzega się u nas prawa: nie kradnij i nie zabijaj, a za fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu można dostać karę z zawieszaniem. Może więc byłoby lepiej usprawnić obowiązujące prawo i je egzekwować. Lekarze półpodziemia uważają, że przysięga Hipokratesa ich najwyraźniej nie dotyczy. A krzywoprzysięstwo też uchodzi płazem. Weźmy choćby przysięgę małżeńską. Kiedyś Włochy jej przestrzegały i karały niewiomość, potem się z tego prawa wycofały. Może w ogóle wycofamy się z prawa z powodu nadmiaru przestępców. A może należy je zaostrzyć? Czyż nie tak?...

Żuk



Jan Pruszyński

Sprawiedliwość

Sprawiedliwość społeczna pojawia się często w wypowiedziach polityków, w enuncjacjach prasowych i w żądaniach strajkujących. Mówią o niej księża, powołując się w swych homiliach na naukę społeczną Kościoła. Zarówno to określenie, jak i idea własności społecznej wywołuje resentmenty u nader licznych działaczy partii politycznych mianujących się lewicowymi oraz będących nimi związków zawodowych. Warto zastanowić się, czym są one w istocie, zwłaszcza że zasada własności społecznej była na długie lata utwierdzona art. 12 – 18 Konstytucji PRL z 22 lipca 1952 roku, zaś artykuł 2 obowiązującej Konstytucji RP z 2 kwietnia 1997 głosi, iż Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej...

Sprawiedliwość jest jednym z pojęć najczęściej występujących w tekstach biblijnych. Wśród Ośmiu Błogosławieństw wymieniona jest dwukrotnie i to ze szczególnym naciskiem: Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni...; Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie... (Mt 5,6,10). Psalmi podkreślają, że: Pan miłuje sprawiedliwość (37,28); sprawiedliwość i prawo podstawą Jego tronu (97,2); wzywają: Panie, do Ciebie się uciekam, niech nigdy nie doznam zawodu; wybaw mnie w Twojej sprawiedliwości (31,2); język mój będzie głosił Twoją sprawiedliwość (35,28).

Od dawna też zaprzęta ona uwagę myślicieli. Św. Paweł wielokrotnie zwracał na nią uwagę w swych listach, podkreślając, że owocem światłości jest

wszelka prawość i sprawiedliwość, i prawda... (Ef 5,9). Przypomnijmy jednak, że według powszechnie uznawanej definicji prawa rzymskiego jest ona statą i mocną wolą oddania każdemu tego, co mu się z prawa należy (iustitia est firma et perpetua voluntas ius suum cuique tribuendi). A więc nie każdemu jednakowo, ale tyle, aż tyle i tylko tyle, na ile pozwala prawo, zarówno w zakresie równości, jak i własności. O nią też głównie chodzi krytykom nadmiernej bogacenia się nielicznych, rzekomo kosztem ubożającego społeczeństwa. XIX-wieczne doktryny zakładające uspołecznienie domniemanej wspólnej własności ziemi i narzędzi produkcji tj. wywłaszczenie bez odszkodowania posiadaczy większego majątku i oddanie go pod kontrolę państwa, wydało się niektórym teoretykom sposobem rozwiązania konfliktów wynikających z bogacenia się jednostek i rosnącego ubóstwa znacznych części społeczeństw. Czy było to zjawisko nowe? Z pewnością nie, boć św. Łukasz napomina: biada wam, bogaczom (Łk 6,24); trzej ewangeliciści jednakowo zanotowali słowa Chrystusowe: łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa niebieskiego (Mt 19,24; Mk 10,25; Łk 18,25), zaś św. Paweł pisał do Tymoteusza: Bogaczom tego świata nakazuj, ażeby się nie wynosili i nie pokładali nadziei w niepewnym bogactwie, lecz w Bogu (...), ażeby dobrze czynili, byli hojni i chętnie dzielili się z innymi... (I Tym 6,17-18).

Iluzja, że uspołecznienie zapewni sprawiedliwy podział, zaś dbałość o wspólne dobro będzie wyższa niż troska o własny interes, opanowała umysły na całe minionie stulecie, choć w żaden sposób nie da się wywieść, że co-

kolwiek może być własnością całego społeczeństwa, a już szczególnie gdy doktryna wyjaśnia, że jedynym, wyłącznym właścicielem całego mienia państwowego jest cały naród... w osobie swego państwa socjalistycznego. Stąd konfiskatę mienia na rzecz państwa nazwano eufemistycznie uspołecznieniem. Jak dalece wydawało się to uzasadnione i oczywiste, widać w przekładzie Biblii Tysiąclecia, gdzie cytowane napomnienie bogaczy w Liście do Tymoteusza zmieniono: niech będą hojni, uspołecznieni, mimo że owo uspołecznienie zadekretowane w prawie PRL nie powodowało szczególnej hojności rządzących, a jedynie powszechną równość w niedostatku.

Popularnego hasła politycznego sprawiedliwości społecznej, w jego konstytucyjnej wersji, nie da się w żaden sposób przełożyć na prawne obowiązki organów państwa. Jan Józef Szczepański nazwał świat absolutnej sprawiedliwości społecznej utopią, stwierdzając, że do jego budowy używano środków budzących opór moralne. Można co najwyżej mówić o kierowaniu się zasadami sprawiedliwości, ale na pewno nie o iluzorycznym urzeczywistnianiu sprawiedliwości społecznej, szczególnie gdy utożsamia się ją z interesem społecznym partii lub grupy zawodowej wyartykułowanym przez jej przedstawicieli. Godzi się też przypomnieć, że obowiązujące prawo cywilne zrezygnowało z kategorii własności społecznej jako doktrynalnie błędnej. Niestety przeinaczenia i zwykle nieprawdy przeżyły odrzucony ustrój.

Czym wobec tego jest sprawiedliwość? Można wywieść, że jej poczucie jest naturalne, a czynnikiem wartościującym jest sumienie ludzkie. Szkoda zatem, że domagający się sprawiedliwości społecznej i powrotu własności społecznej rzadko się nim posługują i nie pamiętają jednej z najpiękniejszych przypowieści o liliach polnych i ptakach niebieskich: szukajcie najpierw Królestwa Bożego i Jego Sprawiedliwości, a wszystko inne będzie wam dodane (Mat. 6,33).

Podziwiam zwolenników integracji z *Unią Europejską*. Zazdroścę im optymizmu zwłaszcza po ogłoszeniu wyników negocjacji w Kopenhagie. Wiadomo już, jak niekorzystne są to warunki dla Polski, a jak zupełnie przyzwoite dla *Unii*. Można więc dokonać pełnego bilansu zysków i strat, przewidzieć, ogólne przynajmniej, skutki i konsekwencje w wymiernym, niedługim czasie.

Nie potrzeba nawet odwoływać się do racji zasadniczych i niezbywalnych, takich jak *interes narodowy, dobro wspólne, integralność państwa*, by ocenić naszą sytuację *unijnego* klienta. Dzisiejsze ogromne różnice między Polską po komunizmie a zjednoczoną *Unią*, mimo kilkunastoletniej już z nią współpracy, mogą pogłębić się w przepaść nie do przebycia zanim nadejdzie obiecwana szczęśliwsza przyszłość.

Prowadzona od dłuższego czasu w mediach natrętna unijna propaganda uniemożliwiła uczciwą i merytoryczną dyskusję, usuwając lub wyciszając wszelkie głosy krytyczne. Politycy, którzy nas tak ochoczo wprowadzają do *Unii*, są mało wiarygodni i zbyt interesowni, byśmy mogli na nich polegać. Powstała w ten sposób przepaść między nieliczną obecnie grupą, w której interesie jest integracja na każdych warunkach (należy do niej klasa polityczna, więksi biznesmeni i finansjści, a także ludzie związani z mediami, których profesją stała się propaganda, przyznajmy się, że przypominająca czasy PRL), a milczącą większością, która została zepchnięta do defensywy i poszukuje obecnie swoistej niszy do przetrwania, reagując samonapędzającym się lękiem i obawami przed niepewną przyszłością. Te dwie grupy utraciły wszelkie więzi między sobą, nie rozumieją się. Zagrożeni będą reagować agresją, a własne państwo, które powinno być mediatorom, stanie się dla nich obce i nieprzyjazne. Taka sytuacja zapowiada tylko jedno: samonapędzająca się zapaść, której nie może

przecież naprawić to, że duża część Polaków stanie się biernymi biorcami, a nie obywatelami – klientami przydziałów i zapomóg z *Unii*.

Argumenty za natychmiastową integracją (np. takie, że jeśli nie wstąpimy teraz, to nigdy, co grozi nam rzekomo wykluczeniem z Europy, jak byśmy w niej nie byli) są demagogiczne. Nie grozi nam Białoruś, którą się nas straszy. Polska przetrwała komunizm, a teraz jest w NATO. Powinna przystąpić do *Unii*, gdy będzie do tego odpowiednio przygotowana i na wa-

Z czym do Unii?

Marek Klecel

runkach rzeczywiście partnerskich. Na razie to *Unia* zrobiła na nas dobry interes, o czym na Zachodzie mówi się już otwarcie, i na co wskazuje nasz ujemny bilans handlowy z *Unią* w wysokości 60 mld euro.

Dlatego w tej sytuacji lepiej zachować ostrożność i sceptycyzm. Musimy pilnować własnego interesu, nikt nie może zrobić tego za nas. W wypadku klęski nie będzie odpowiedzialnych. W demokracji, zwłaszcza takiej jak nasza, nie ma w zasadzie odpowiedzialności, będą natomiast niewątpliwie ofiary. Dlatego rozważanie najgorszych nawet skutków i kosztów społecznych integracji nie jest czarnowidztwem lecz przygotowaniem do nieuniknionych trudności.

Polska nie wyleczy się z ciężkich, zadawionych kompleksów wobec Zachodu przez wiernopoddanie lub butne i megalomańskie zachowania klienta, dopóki nie stanie na własnych nogach i nie będzie kierować się własnym rozumem, dopóki nie stanie się samowładnym i samodzielnym krajem. Nie sądzę, żeby mogła w tym pomóc *Unia*, która miała dokonać scalenia Europy i historycznej rehabilitacji po Jańcie i komunizmie, a dokonała tylko udanej (dla siebie) transakcji handlowej.

Roger Boyes napisał w *The Times*: *Unia Europejska* (...) w rzeczywistości przez ostatnie dwa lata terroryzowała Europę środkową i zmuszała ją do ciągłych ustępstw. (...) Uczyniono wszystko, by zneutralizować przyszłe zdolności konkurencyjne nowych członków i zdławić tę energię, która czyni ów region ważnym. (...) Rozwlekł negocjacje w tej kwestii były prowadzone w atmosferze przypominającej operację wrogiego przejścia spółki akcyjnej. *Unia* zachowuje się haniebnie: historyczna integracja została sprowadzona przez nią do poziomu targowiska...

Nie mogą być zatem zwolennikiem pośpieszkiego wchodzenia do *Unii*, chyba że jesteśmy, jako kraj, bankrutem,

a rządząca oligarchia, która powstała przez ostatnie lata pozostanie nieusuwalna, o czym mogą świadczyć ostatnie afery, których źródeł i autorów nigdy zapewne nie poznamy.

W wywiadzie dla *Tygodnika Solidarność* (2/2003) prof. Jadwiga Staniszkis, którą trudno posadzać o chęć destabilizacji kraju, powiedziała wprost: *Nasza gospodarka ogołocona z przemysłu (dezindustrializacja) właściwie nie istnieje. 57 proc. ludzi żyje na poziomie minimum. Nastąpiła prywatyzacja funduszy publicznych. Państwo jest bankrutem. A sektor finansowy i media pracują na rzecz całości większej niż terytorium nominalnego państwa...*

Potrzebna będzie więc tymczasem nowa solidarność, którą ostatnio porzuciliśmy, zapomnieliśmy, zdradziliśmy w imię nowocześniejszych, jak się wydawało, sprawdzonych, bo importowanych ideałów. Solidarność z milczącą większością, z tymi, co zostali pozbawieni głosu i udziału w ciągu ostatnich lat, a byli wygodnym alibi do demagogicznych gier i wyższych interesów. Na nich spocznie ciężar utrzymywania państwa, a jeśli nastąpi integracja, to i po części *Unii Europejskiej*. ■

RECENZJA

Rosja polskich męczenników

U kresu drugiego tysiąclecia Kościół znów stał się Kościołem męczenników... – Pisał w Liście Apostolskim Tertio millennio adveniente Jan Paweł II. (...) A są to często męczennicy nieznanymi, jak gdyby nieznanymi żołnierze wielkiej sprawy Bożej. Jeśli to możliwe, ich świadectwa nie powinny zostać zapomniane w Kościele.

Słowa z Listu Apostolskiego znalazły się także we wstępie do zbiorowego wydania martyrologii pt. *Męczennicy za wiarę 1939–1945 (Michalium 1996)*. W pozycji tej zamieszczono 107 żywotów polskich błogosławionych (ofiar niemieckiego nazizmu), wyniesionych na ołtarze przez Ojca Świętego podczas Jego pobytu w Warszawie. W czasie promocji tejże książki ks. abp Henryk Muszyński zwrócił uwagę na to, iż istnieje pilna potrzeba szybkiego – skoro powstały ku temu sprzyjające warunki – zebrania materiałów dokumentujących także tych męczenników, którzy złożyli ofiarę życia na nieludzkich obszarach Rosji sowieckiej.

W Bydgoszczy (7.06.1999 r.) Ojciec Święty powrócił do tego tematu, zobowiązując nas, swych rodaków, jednoznacznie brzmiącym zaleceniem: *za szczególną powinność naszego pokolenia w Kościele uważam zebranie wszystkich świadectw o tych, którzy dali życie za Chrystusa.*

I oto mam przed sobą wstrząsającą pracę dwu niestrudzonych szperaczy – ks. dra *Zdzisława Peszkowskiego*, emerytowanego profesora Zakładów Naukowych w Orchard Lake, bardziej znanego jako kapelana Rodzin Katyńskich oraz dr. inż.

Stanisława Zdrojewskiego.

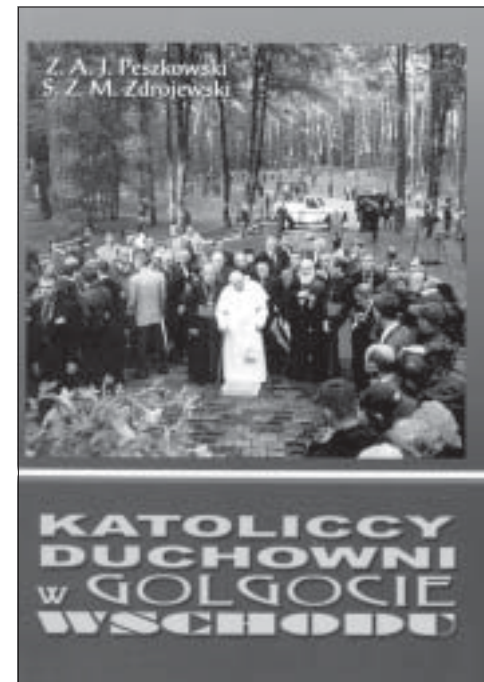
Licząca blisko 1200 stron księga, którą wstępem opatrzył Prymas Polski ks. Józef kard. Glemp, nosi znamienity tytuł: *Katolicy duchowni w Gólgocie Wschodu* i zawiera dane 3701 osób. Znaczna większość, bo aż 2788 pozycji dotyczy duchowieństwa, a więc hierarchów, kapelanów, księży diecezjalnych, zakonników i zakonnic. Oddzielny zbiór stanowią osoby świeckie, jak np. organ-

czyli *sprawy katyńskiej*.

W zbiorze tym znalazło się również kilkadziesiąt biogramów zestawionych najczęściej z dokumentów przesłuchań, wyroków sądowych i tak zwanych *skazań*. Ich lektura utwierdza w przekonaniu, że walka z Kościołem, od prób całkowitego podporządkowania go władzy państwowej po totalne zniszczenie, toczy się na obszarach rosyjskiego panowania nieprzerwanie, od wieków. W naszych czasach jesteśmy świadkami rozbudzenia tej tendencji wraz z odradzaniem się spektakularnych symptomów turańskiej cywilizacji, których uosobieniem jest prezydentura Putina i rzekoma samodzielność cerkwi prawosławnej.

Eugeniusz Zdanowicz

Ks. Z.A.J. Peszkowski, S.Z.M. Zdrojewski, *Katolicy duchowni w Gólgocie Wschodu*, Pelplin Bernardinum 2002



AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

W tramwaju, czyli o *Solidarności*

Ks. Profesor (nota bene: wykładowca teologii moralnej na ówczesnej *ATK* w Warszawie) wsiadł do tramwaju i skasował bilet. Gdy za chwilę kontroler zażądał okazania biletu, nasz pasażer nigdzie nie mógł go znaleźć. Szperał nerwowo w zakamarkach kieszeni, w jednej, drugiej i trzeciej... i nic! Równocześnie zapewniał kontrolera, że skasował bilet...

Jadący tramwajem, którzy przyglądali się scenie, w pewnej chwili, wcale o to nie proszeni, jak jeden mąż stanęli w obronie współpasażera: – *Tak, na pewno skasował bilet! Przecież widzieliśmy! Niech pan będzie człowiekiem!*

Kontroler zażądał opłaty za brak ważnego biletu. Nie, nie całej opłaty: sprawę właściwie można załatwić polubownie, wyraźnie sugerował pracownik MPK. On nie wypisze mandatu,

a pasażer zapłaci połowę przewidzianej kary...

Ks. Profesor (nota bene: wykładowca teologii moralnej na ówczesnej *ATK* w Warszawie) nie zgodził się! Skoro nie ma biletu, to zapłaci całą karę. Całą karę, a pan kontroler wypisze mandat. I w tym momencie palce ks. Profesora natrafiły na poszukiwany bilet...

Nasz niedoszły pasażer na gapę zaczął czynić wyrzuty pracownikowi *MPK*: – *To tak! To kontroler, który ma szukać nieuczciwych pasażerów, sam okazuje się nieuczciwy?*

I wtedy jadący tramwajem, jak jeden mąż, stanęli w obronie! W obronie... uczciwości kontrolera: – *Panie, co pan? O co panu chodzi? Dlaczego czepia się pan porządnego faceta? Niech pan będzie człowiekiem!*

ks. Bogdan Markowski CM



foto: P. Życieński

Temat Iraku nie schodzi z pierwszych stron gazet, zaś Amerykanie są coraz bardziej rozdrażnieni, że NATO nie chce im udzielić jednomyślnego poparcia. Opór Niemiec i Francji wobec wojny na Bliskim Wschodzie jest tak zdecydowany, że w USA coraz częściej dochodzą do głosu nastroje antyeuropejskie. Doskonale znany w Polsce brytyjski historyk: Timothy Gordon Ash tak o tym pisze w znakomitym artykule pt.: *Amerykanie są z Marsa: To mięczaki – słabi, drażliwi, obłudni, skłóceni, dwulicowi, często antysemitcy. Wydają swoje euro na rozdęte państwo opiekuńcze zamiast na obronę, a potem gwizdzą z trybun, gdy USA odwalają brudną robotę, żeby oni mogli żyć bezpiecznie. Tak dziś jawią się Europejczycy w oczach Amerykanów...* (*GW* z 8 II). Dlatego nie dziwi, iż czołowi politycy amerykańscy dają do zrozumienia, że sojusz północnoatlantycki w swym obecnym kształcie stracił rację bytu. W związku z tym pojawiły się plany przeniesienia wojsk amerykańskich z Niemiec do Polski, natomiast w *Pentagonie* przebąkuje się, że wobec *tchórzostwa* Europy Stany Zjednoczone powinny szukać sobie nowych sojuszników. To już nie jest zwykła różnica zdań, jaka może pojawić się nawet w najbardziej zgodnej rodzinie. To są dwie zasadniczo odmienne wizje świata i dwie różne filozofie polityczne. O Ameryce, jako *oddalającym się kontynencie*, pisano już w Europie dwadzieścia lat temu. A dopiero teraz wyraźnie wyszło na jaw, że przy patrzeniu na zasadnicze kwestie cywilizacyjne współczesnego świata Europejczycy i Amerykanie mają całkowicie odmienne zdania.

Nowoczesny terroryzm jest dla Zachodu problemem (a nawet wyzwaniem) cywilizacyjnym i kulturowym. Europejczycy, którzy ze światem arabskim i muzułmańskim sąsiadowali i walczyli od czasów wczesnego średniowiecza, doskonale przeto rozumieją, że rozwiązanie wyłącznie militarne nie jest żadnym rozwiązaniem. Terrorysty nie są dzisiaj, jak jeszcze dwadzieścia lat temu, samotnymi wyrzutkami, którym nie podobają się świat. Współczesny terroryzm to już potężna machina, uzasadniona

PRZEGLĄD PRASY

Coraz bliżej wojny

umiejętnie religią, ideologią społeczną, polityką oraz poczuciem godności narodowej, co tak łatwo trafia do umysłów milionów biednych i niewykształconych ludzi na całym świecie. Rozprawa z Al-Kaidą i talibami w Afganistanie cieszyła się jednoznacznym poparciem Europy, ponieważ wróg, czyli terrorysta nazwany był z imienia, a jego związek z zamachem na nowojorskie *WTC* był oczywisty. Ale sprawa Iraku przybrała inny wymiar. O ile jeszcze dwa miesiące temu czołowe dzienniki i tygodniki (w tym amerykański *Newsweek*) szukały dowodów na powiązania Saddama Husajna z bin Ladenem, o tyle dzisiaj, kiedy takich dowodów nie znaleziono, uzasadnienia dla wojny z Irakiem szuka się gdzie indziej. Powiada się najpierw, że Irak nie wykonał rezolucji Rady Bezpieczeństwa *ONZ* z 1991 roku i dlatego powinien być ukarany. Ba, ale ile państw wcześniej i później nie wykonywało polityki uprawianej przez mocarstwa. *ONZ* nigdy nie potępia na przykład terroryzmu Palestyńczyków wobec Żydów, nie zająknęła się wobec masowego ludobójstwa w Czeczenii, nie sprzeciwiła się eksterminacji Tybetańczyków dokonywanej przez Chiny, zaś systematyczne mordowanie Indian w Brazylii nigdy nie było przedmiotem *oenczetowskich* obrad.

Po drugie, o czym można przeczytać w *Rzeczpospolitej*, wojna z Irakiem ma pobudzić światową, a zwłaszcza amerykańską gospodarkę oraz spowodować znaczne obniżenie cen ropy naftowej. A to znowu, z powodów wyłącznie ekonomicznych, budzi zasadniczy sprzeciw Rosji. Rosjanie obawiają się bowiem, że świat przestanie kupować od nich ropę, a ponadto nie życzą sobie, że zrozumiałych względów, aby Ameryka była jeszcze silniejsza i bogatsza. Problem walki z terrorem zniknął w ciągu ostatniego miesiąca, a na pierwszy plan wysunęły się doraźne potrzeby ekonomiczne.

Tak więc po wielu miesiącach przepychanek i targów z Husajnem świat doiedział się nareszcie, komu i po co po-

trzebna jest ta wojna. Toteż rozsądni Europejczycy nie bez powodu pytają, dlaczego właśnie Irak i dlaczego akurat teraz, kiedy np. Korea Północna przystąpiła do produkowania broni atomowej, a jej szaleńcza polityka jest nie mniej groźna niż działania Saddama Husajna.

Dopiero na tym tle staje się zrozumiałe, dlaczego Stany Zjednoczone gotowe są rozpocząć tę wojnę nawet wbrew stanowisku *ONZ*. Chodzi o interesy, a tam, gdzie chodzi o wielkie pieniądze (jak np. w sprawie Kanału Sueskiego w 1956 roku) mocarstwa gotowe są posyłać żołnierzy na śmierć, aby tylko postawić na swoim. I na odwrót: jeżeli mają w tym interes, chociażby wyłącznie polityczny, przymykają oczy na masowe zbrodnie, jak to było w Kurdystanie, Kambodży, a ostatnio w Czeczenii.

Dlatego postawa Jana Pawła II, całkowicie wolna od wszelkich koniunktur politycznych, musi budzić głęboki szacunek: *Nie wolno godzić się na to, że wojna jest nieunikniona* – przypomnia słowa Papieża *Tygodnik Powszechny* i sądzę, że dla chrześcijan i Polaków, tak boleśnie doświadczonych przez liczną wojnę, jest to czytelne i jednoznaczne przesłanie. Powinniśmy być wraz z papieżem świadomi, że wojna z Irakiem może mieć dla świata groźne, a nawet nieobliczalne następstwa. Stanowisko polskiego rządu, który bez zastrzeżeń popiera amerykańską opcję, jest tym bardziej niezrozumiałe, że politycy wszystkich partii tak często powołują się na naukę społeczną Jana Pawła II. Czy jest to z ich strony kolejny dowód hipokryzji? A ponadto, czy nie zdają sobie sprawy, że – jak stwierdza Łukasz Warzecha w *Rzeczpospolitej* z 4 II – jesteśmy postrzegani jako *giermek Waszyngtonu*, co szkodzi naszym stosunkom z *Unią Europejską*? Ale cóż, politykom spod znaku *SLD*, którzy wcześniej słuchali bez zastrzeżeń pouczeń z Moskwy, zapewne trudno sobie wyobrazić, że można mieć własne zdanie.

AWP

SŁOWNIK OD „Z” DO „A”

Komunalizm

Do jakiej starej, dobrej cywilizacji wspólnot chcą wrócić piewcy konserwatywnego powrotu do korzeni? Książka Nisbeta *W poszukiwaniu wspólnoty* z 1953 roku stała się kultową lekturą prawicy i nowej lewicy, a lewicowi ideolodzy pełnymi garściami z Nisbeta czerpali. Tytułowe poszukiwanie wspólnoty w dawnych wiekach zaowocowało głównie tysiącami hippisowskich komun, a nie odbudową tradycyjnej tkanki społeczeństwa. Dlaczego wyimaginowane społeczeństwo sprzed Rewolucji Francuskiej albo z czasów średniowiecza miałyby być lepsze niż dzisiejsze?

Dane historyczne nie potwierdzają takich rojeń. Są one równie absurdalne jak marzenie o powrocie do mitycznej arkadii, które zaprowadziło Heideggera do partii nazistowskiej. W Afryce nadal trwa prastary komunalizm, filozofia przymusowej wspólnoty: *Ja jestem, ponieważ my jesteśmy*. Wioska afrykańska stanowi prawie idealny typ narzuconej wspólnoty przypisującej każdemu rolę. W Afryce sama koncepcja jednostki nigdy się nie zrodziła, a zatem brak pojęcia wartości każdej osoby ludzkiej.

Wspólnota jest więc podstawową jednostką społeczną, najwyższą wartością. Nigdy nie wchodzi w grę konflikt interesu zbiorowego z indywidualnym. Lecz ten, kto kontroluje wspólnotę, ma potężne środki represji. Nie istnieje to, co mogłoby być wynikiem talentów, przedsięwziętości, twórczości. W Polsce jeszcze w latach osiemdziesiątych niejedna rodzina o wiejskich korzeniach miała za złe swym dzieciom, że chcą zdobyć wyższe wykształcenie. Afryka... Ucieczka z tego modelu cywilizacyjnego trwa od neolitu i nadal kończą nie widać. Ale Ewangelia przynosi obraz prawdziwej wspólnoty i ludzkość może o ten dar poprosić.

MM

Stanisław Michalkiewicz

Młot na socjalistów pobożnych

Odpowiadając na pytania dotyczące możliwości wprowadzenia w Polsce podatku liniowego, wicepremier Grzegorz Kołodko możliwością taką wykluczył. Stwierdził bowiem, że w sytuacji kryzysowej nie można obniżyć podatków. Kropkę nad *i* postawił wiceminister Jan Czekaj, stwierdzając w *Gazecie Wyborczej*, że przeciwko podatkom liniowemu przemawiają również względy pryncypialne. Chodzi o to, że podatek ten nie da się pogodzić ze sprawiedliwością społeczną... Przypomnijmy zatem, o co chodzi.

Wśród podatków istniejących obecnie w Polsce jest podatek dochodowy. Występuje on w dwóch odmianach: jako podatek dochodowy od osób fizycznych (PIT) i jako podatek dochodowy od osób prawnych (CIT). Podstawą opodatkowania w jednym i drugim przypadku jest dochód, a więc różnica między kwotą rocznych przychodów, a kosztami ich uzyskania. Podatek dochodowy w Polsce ma charakter progresywny, to znaczy, że stawka obciążenia tym podatkiem wzrasta w miarę wzrostu dochodu. *Prawdziwi* socjaliści, jak np. pan dr Ryszard Bugaj, uważają, że progresja w polskim podatku dochodowym jest zbyt płaska i postępują wprowadzenie jeszcze jednego szczebla progresji na poziomie 50 proc. Oznaczałoby to, że nadwyżka dochodu ponad określony poziom byłaby konfiskowana przez rząd w połowie. Liberalowie z kolei uważają, że progresja jest niemoralna i ekonomicznie szkodliwa. Domagają się wobec tego zastąpienia progresywnego podatku dochodowego podatkiem liniowym. Podatek liniowy polega na tym, że wszyscy podatnicy płacą podatek dochodowy według jednej stawki, np. 11 proc. (Irlandia), czy 13 proc. (Rosja).

Konserwatywni liberalowie z *Unii Polityki Realnej* uważają podatek dochodowy w ogóle za niemoralny i szkodliwy. Domagają się zastąpienia go ryczałtowym podatkiem osobistym, polegającym na tym, że każdy podatnik płaciłby tę samą kwotę podatku. Warto zwrócić uwagę, że *UPR* nie jest w swojej moralnej ocenie podatku dochodowego odosobniona. Aż do roku 1913 amerykański Sąd Najwyższy też uważał, że podatek dochodowy jest nie do pogodzenia z zasadą ochrony własności i blokował pomysły wprowadzenia go w życie, jako sprzeczny z konstytucją USA.

Skoro jesteśmy przy konstytucji, to warto przypomnieć, że pojęcie *sprawiedliwości społecznej* jest terminem konstytucyjnym; w art. 2 Konstytucja Polska stwierdza, że *Rzeczpospolita Polska* jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady *sprawiedliwości społecznej*. Już mniejsza o to, czy państwo demokratyczne może w ogóle być państwem prawnym, czyli nomokratycznym. Chodzi o to, że metoda demokratyczna polega na każdorazowym przyznawaniu racji większości, podczas gdy nomokracja, czyli rządy normy, polega na trzymaniu się uznanych za słuszne zasad, bez względu na to, co akurat mniema większość. Znacznie ważniejsze jest to, że nikt dokładnie nie wie, jakie właściwie są zasady *sprawiedliwości społecznej* i czym jest ona sama. Okoliczność, że urzeczywistnianie owych zasad jest obowiązkiem RP, stawia nas wszystkich w kłopotliwej sytuacji. Wiceminister Czekaj, jako urzędnik państwowy, ma oczywiście obowiązek trzymania się nieubłaganego gruntu konstytucji, cokolwiek by nie znaczyły używane przez nią określenia.

Pojęcie *sprawiedliwości społecznej* jest moralnym uzasadnieniem socjalizmu. Socjalizm zaś polega na przeświadczeniu, że moralna i pożądana jest przymusowa redystrybucja dochodów za pośrednictwem władzy politycznej. Przeciwnicy socjalizmu uważają, że redystrybucja dochodów jest moralna i pożądana, jeśli dokonuje się dobrowolnie i poprzez rynek. Dlatego też socjaliści uważają, że jeden człowiek ma prawo do dochodów innego człowieka i to swoje uprawnienie może realizować przy pomocy przymusu, jakim dysponuje władza polityczna. W socjalizmie prawo do tej decyzji usurpuje sobie władza polityczna, maskując tę usurpację kreowaniem się na rzecznika *ubogich*. Nawiasem mówiąc, jest to obłuda wołająca o pomstę do nieba, bo akurat ok. 85 proc. wpływów budżetowych z podatku dochodowego od osób fizycznych w Polsce pochodzi od podatników zaliczonych do I grupy, czyli *ubogich*.

Jeśli wiceminister Czekaj używa pojęcia *sprawiedliwości społecznej* na usprawiedliwienie kontynuacji niemoralnego i absurdu systemu podatkowego, to nic na to poradzić nie możemy: jest socjalistą, więc zachowuje się jak socjalista. Gorzej, kiedy takie socjalistyczne, a właściwie – powiedzmy sobie szczerze – bolszewickie poglądy, lansowane są w Kościele przez socjalistów, skądinąd chyba naprawdę pobożnych. Ci pobożni socjaliści są jednak dowodem, że istnieje pobożność bezrefleksyjna. Bo przecież przy odrobinie refleksyjności nietrudno zrozumieć, że *siódme przykazanie Dekalogu nie kradnij*, jest nie do pogodzenia z przekonaniem, że jedni ludzie mają prawo do udziału w dochodach innych ludzi. Gdyby takie prawo rzeczywiście istniało i miało charakter powszechny, to termin *kradzież*, utraciłby wszelki sens. Nietrudno też zrozumieć, że hołdowanie socjalistycznym poglądom o zasadności przymusowej redystrybucji dochodów za pośrednictwem władzy politycznej, a zwłaszcza publiczne dawanie wyrazu takim przekonaniom, pozostaje w oczywistej sprzeczności z dziesiątym przykazaniem *Dekalogu*. ■

IN FLAGRANTI

Epidemia zawilości

Bieda rozlewa się od Karpat do Bałtyku i od Odry po Bug. Bezrobocie nie spada, a zarobki coraz większych grup społeczeństwa obniżają się i możliwości dorobienia do nędznych pensji maleją. Natomiast w Sejmie i rządzie długo dyskutowano nad sformulowaniem pytania referendalnego: *Chcemy czy nie chcemy wstąpić do Unii Europejskiej?* Ot, problem państwowy. Nie kwestia samego wstąpienia, gdyż ona ma rzeczywiste znaczenie państwowe i w ogóle międzynarodowe, lecz samo brzmienie pytania... Wszyscy wiedzą, że musi być wyczerpujące i zrozumiałe. Ba – nie takie to proste!

Tymczasem nasi wybrańcy, ze wszystkich partii, powołani przez nas do rządzenia krajem, prześcigają się w wymyślaniu zawilonych sformułowań, skomplikowanych zasad, największej liczby rygorów administracyjnych, jaką może wykonać człowiek XXI wieku. Zarejestrowanie spółki gospodarczej czy fundacji wymaga dzisiaj, w przeciwieństwie do warunków panujących na początku lat dziewięćdziesiątych, spełnienia tylu nakazów biurokratycznych, właściwego wypełnienia tylu właściwych rubryk na tylu urzędowych (czytaj: ustawowych) formularzach, że niejedyn radca prawny myli się lub kapituluje.

Współczesna państwowa biurokracja polska ma rodowód bizantyjski – z tej cywilizacji wzięła się w Rosji carskiej owa powaga *bumagi*, z której dawniej i dzisiaj chętnie się naigrawamy. Wszelako również w III Rzeczypospolitej bez właściwie wypełnionych *bumag* nie publicznie, gospodarczo działać nie możemy. A przecież kultura umysłowa przemawia prostotą: im kto mądrzejszy a duchowo pokorniejszy (w języku Ewangelii *ubogi duchem*), tym jego zachowanie, działanie, słowa, wyrazy myśli i uczuć, nakazy i zakazy są prostsze, wyrazistsze, powszechnie zrozumiałe. Tylko umysł mało rozwinięty a osobowości zadufane w sobie, niezdolne do jakiegokolwiek samooceny, plawią się w zawilościach, ba

– pyszną się zagmatwaniami, dumne są z tego, co wymyślają tylko po to aby inni mogli podziwiać ich mądrość albo dlatego, że przy braku inteligencji i wyobraźni intelektualnej przepisy zawile i nadmierne wydają się skuteczne, pożyteczne. W ten sposób powstaje monstrualna biurokracja niszcząca energię twórczą obywateli. Czyli uparte piłowanie gałęzi, na której się siedzi razem z wyborcami.

Przedmioty dysput parlamentarnych są także schedą po minionym ustroju. Starsi Czytelnicy pamiętają, że w Polsce Ludowej posłowie na posiedzeniach i sesjach sejmowych deliberowali nad stosowaniem kapsli do butelek oraz przydziałami sznurka do snopowiązałek. A rzeczywistość skrzeczała brakiem podstawowych artykułów potrzebnych do normalnego życia, inwigilacją *bezpieki* i represjami wobec niepokornych. Publicyści pisali zaś o dobrobycie i dalszym dynamicznym rozwoju państwa i społeczeństwa.

Posłowie *Najjaśniejszej* Trzeciej Rzeczypospolitej po długich dyskusjach postanowili słowo *aptekarz* zastąpić *farmaceutą*. Pyszne: żeby w Polsce zawód aptekarza nazwać profesją farmaceutyczną trzeba ustawi sejmowej! I nikt w mediach nie pisze o tych czczych działaniach wobec prawdziwych chorób społeczno-politycznych: bezrobocia, umolności wolne-

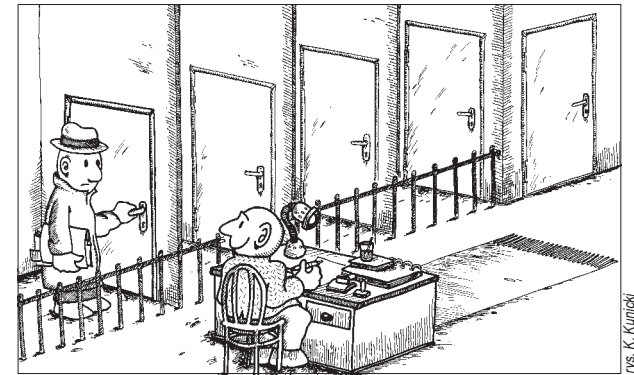
go rynku, degeneracji opiekuńczości państwowej. Natomiast media przepelnione są złowieszczymi wypowiedziami o zagrożeniach demokracji.

A gigantyczna biurokracja nie zagraża rozwojowi państwa? O tym kamienna cisza. Za to wciąż i wszędzie, nawet w mądrej, wydawałoby się, prasie prawcowej, pełno bezmyślnych lub z premedytacją organizowanych kampanii publicystycznych: jaki to jeden człowiek publiczny jest zły, a drugi jaki dobry, że doniósł na tamtego i jeszcze przyznał się do błędu, iż doniósł dopiero teraz.

Biurokracja uniemożliwiła rozwój małego i średniego biznesu rodzimego, odstrasza obcy kapitał, biznesmeni cudzoziemscy od pięciu-sześciu lat unikają Polski, inwestując przede wszystkim w pozostałych krajach z dawnego obozu socjalistycznego. Niedługo znów będziemy *pariasami* Europy. Tym razem na własne życzenie.

Wiem, że ta moja pisanina jest daremna. Chociażbym się wdarł do gmachu Sejmu i na oczach rozłuszczonych posłów (że to niby zakłócam im powagę mądrych dyskusji: jak nazwać zawód aptekarza czy jakie pytanie ułożyć na referendum albo jak uchronić demokrację przed korupcjoniastą) popełnił *harakiri* – to i tak bym ich nie wzruszył, i tak będą się nadal rozkoszować wymyślanymi przez siebie coraz większymi zawilościami. Prostość umysłu bowiem ma się od urodzenia albo osiąga się ją w pocie czoła, pracując nad sobą przez całe lata.

Jacek Wegner



rys. K. Kumiński

SAMOTNY BÓJ O PRZETRWANIE

(3)

Baskowie, w przeciwieństwie do Czechenów i Kurdów, nigdy nie musieli walczyć o biologiczne przetrwanie. Jednak ojczyna tego dwumilionowego katolickiego narodu jest od ponad tysiąc lat podzielona pomiędzy dwóch zaborców: Hiszpanię i Francję, a Baskowie od wieków bezskutecznie walczą o niepodległość i własne państwo. Powszechnie uważa się, że po upadku ZSR i rozpadzie Jugosławii nie ma już w Europie narodu, który ma swojego okupanta. Baskowie są innego zdania; chociaż żyją od lat w dobrobycie i nikt ich nie prześladowa, nie przestali myśleć o prawdziwej wolności, do której mają niezbywalne prawo.

Euskudi Ta Askatasuna

Te tajemnicze słowa znaczą *Kraj Basków i Wolność*. Nikt, kto nie zna baskijskiego, nie domyśli się, w jakim języku napisano te słowa. Uczni do tej pory nie potrafili wyjaśnić pochodzenia języka baskijskiego ani przypisać Basków do jakiejś większej grupy etnicznej (tak jak np. Szwedów i Duńczyków zalicza się do ludów germańskich, a Polaków, Czechów i Chorwatów do Słowian). Nie znaleziono na świecie żadnego innego języka podobnego do mowy Basków, toteż nikt nie potrafi powiedzieć, skąd Baskowie przywdęrowali do swojej obecnej ojczyzny. Uważa się przeto coraz powszechniej, że od czasów prehistorycznych mieszkają oni w tym samym miejscu: nad Zatoką Biskajską.

Po raz pierwszy świat dowiedział się o tym tajemniczym narodzie w czasach Cesarstwa Rzymskiego, kiedy Rzymianie podbili i włączyli do swego imperium tereny dzisiejszej Francji i Hiszpanii. Jednakże w odróżnieniu od mieszkających po sąsiedzku Celtów, Baskowie nie ulegli romanizacji. Zachowali swój język i kulturę, zaś po upadku Cesarstwa aż po wiek XI, kiedy to ich ziemie wcielono do Królestwa Nawarry, cieszyli się pełną niezależnością. Pod wpływem kultury łacińskiej celtycy Galowie stali się z czasem Francuzami, zaś Iberoceltowie – Hiszpanami i Portugalczycami. Jedynie Baskowie zachowali swoją odrębność, z której do dzisiaj są niezwykle dumni. Żyjąc pod panowaniem wielkich potęg kolonialnych nie wznicieli powstań, z góry skazanych na niepowodzenie. Posiadali inny, skuteczny oręż – całkowicie niezrozumiały dla okupantów język. Dla

tęgo, chcąc nie chcąc, Francuzi i Hiszpanie musieli się godzić na ich kulturalną oraz w pewnym zakresie polityczną autonomię.

Nie potrafili Basków wynarodowić. Toteż aż do roku 1789 we Francji i do 1876 roku w Hiszpanii utrzymywali oni swoje tradycyjne, starożytne instytucje i równie starożytne prawo. Hiszpanie, którzy nie rozumieli ani nie potrafili nauczyć się mowy Basków, nazywali ją *językiem diabła*. Sami Baskowie zwą go *euskera*, zaś językoznawcy wiedzą o nim niewiele: że jest językiem przedindoeuropejskim, który mógł się ukształtować nawet siedem tysięcy lat temu. Toteż *euskera* jest bez wątpienia najstarszym żywym językiem w Europie.

Najpoważniejsze zrywy zbrojne Basków miały miejsce w XIX stuleciu, kiedy to w trzech krwawych wojnach domowych opowiedzieli się oni po stronie tzw. *karlistów*, czyli zwolenników don Carlosa i jego potomków, pretendujących do tronu hiszpańskiego od 1833 roku. Po ostatniej wojnie (przegranej w 1876 r.) utracili autonomię i historyczne przywileje. Od tej chwili datuje się najtrudniejszy okres w historii Basków, tym bardziej, że odkryto wówczas w ich kraju bogate złoża ropy naftowej, cynku, ołowiu i nie mogło być mowy, aby Hiszpanie oddali te bogactwa w ręce ich prawowitych właścicieli. Baskowie twierdzą, że aż po rok 1979, kiedy to po upadku reżymu generała Franco ponownie odzyskali autonomię, ich ojczyzna była traktowana jak kolonia. Zresztą nazwę Guernica, upamiętnioną przez Pabla Picassa w słynnym obrazie o tym samym tytule, zna chyba każdy Polak.

To symbol krwawej pacyfikacji Baskonii przez frankistowską armię i zombardowania bezbronnych miast przez niemieckie lotnictwo w 1979 roku.

Dzisiejsza Baskonia hiszpańska (zwana po baskijsku *Euzkadi*) zajmuje powierzchnię 7300 kilometrów kwadratowych, a dzięki pracowitości jej mieszkańców jest kwitnącym i zamożnym krajem. Baskowie mają własny, lokalny parlament i rząd, szkoły z narodowym językiem, własną prasę i telewizję, oraz narodowe instytucje samorządowe. Nie zadawała ich to jednak, co zwłaszcza my Polacy powinniśmy doskonale rozumieć. Baskowie pragną prawdziwej niepodległości, do której mają tym większe prawo, że przecież osiedlili się na swojej ziemi dużo wcześniej niż przodkowie dzisiejszych Hiszpanów i Francuzów – czyli Celtowie i Iberowie. Ta ziemia jest ich pradawną ojczyzną od zawsze, dlatego ich słusznej i naturalnej walki o niepodległość nie można utożsamiać z terroryzmem, jak czynią to polscy dziennikarze. To prawda, ETA, czyli baskijska organizacja niepodległościowa, walczy także przy pomocy terroru, jednak w odróżnieniu od Palestyńczyków nie organizuje zamachów na ludność cywilną, ale wyłącznie na funkcjonariuszy państwa hiszpańskiego. A jednak polskie media uparcie nazywają bojowników ETA wyłącznie *terrorystami*, chociaż palestyńskich terrorystów zwie się w prasie i telewizji *bojownikami*.

Czy Baskowie nie mają prawa do niepodległości i własnego państwa? Dlaczego takie prawo do niepodległości ma mała Malta, Luksemburg i niewiele większy Cypr? Czy ktoś potrafi sensownie odpowiedzieć na takie pytania? Wydaje się, iż problem polega na tym, że niepodległa Baskonia nie jest, poza Baskami, nikomu potrzebna. Jak zwykle w takich sytuacjach mocarstwa nabierają wody w usta, zaś o prawie narodów do samostanowienia przypominają sobie, kiedy mają w tym doraźny interes polityczny albo ekonomiczny.

Andrzej W. Pawluczuk

PLASTYKA

Etos rycerski

Wyśmiane przez komunistów i podejrzanym liberalów pojęcie rycerskości przypomniane zostało przez wystawę w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie zatytułowaną *Polegaj, jak na Zawiszy – mit czy rzeczywistość*. Wybrane i wypożyczone z wielu polskich muzeów, a także z Muzeum Historycznego Miasta Lwowa (obraz pt. *Bitwa pod Grunwaldem* autorstwa Zygmunta Rozwadowskiego i Tadeusza Popiela) eksponaty opowiadają o dziejach rycerskiego etosu, jego kształtowaniu się w Europie i w Polsce, wreszcie o jego współczesnych echach.

Niestety coraz mniej bowiem miejsca w naszej obecnej, pełnej pustych słów i niedotrzymanych obietnic, rzeczywistości dla postaw przypominających takich ludzi jak Zawisza Czarny, który był w swojej epoce wzorem rycerskiego postępowania nie tylko dla Polski, lecz także dla całej chrześcijańskiej Europy.

Nie jest znana data urodzin Zawiszy Czarnego z Garbowa herbu Sulima, starosty spiskiego, wiemy natomiast, że zginął podczas wyprawy Zygmunta Luksemburskiego przeciw Turkom w roku 1428. Wcześniej zasłynął jako niepokonany w turniejach rycerz, symbol prawości i uczciwości. Wyróżnił się swoim męstwem w bitwie pod Grunwaldem, potem zaś brał udział w polskiej delegacji na sobór w Konstancji. Kiedy wystraszony turecką potęgą Luksemburczyk wycofał się za Dunaj, pozostawiając po drugiej stronie rzeki garść rycerzy, Zawisza Czarny, mimo że wysłano po niego specjalną łódź, nie opuścił ich, wybierając chwałę rycerskiej śmierci.

Jarosław Kossakowski



Wystawa w Muzeum Wojska Polskiego poświęciła postaci Zawiszy Czarnego wiele miejsca. Ukazane są jego wizerunki powstałe w ciągu ubiegłych stuleci, w tym także wykonane przez współczesnego wybitnego batalistę prof. Michała Bylinę (1904 – 1982). Cennym zabytkiem jest szkic rysunkowy do projektu witraża *Zawisza Czarny* dla wawelskiej Katedry autorstwa Stanisława Wyspiańskiego. Końcowe fragmenty obszernej ekspozycji sugerują, iż współczesnymi spadkobiercami rycerskiego etosu winni być oficerowie Wojska Polskiego, kawalerowi wysokich odznaczeń państwowych oraz przedstawiciele środowisk opiniotwórczych. Na pytanie, czy tak rzeczywistość jest, wystawa nie daje jednoznacznej odpowiedzi.

CHWILA MUZYKI

II przykazanie

Nie bądźiesz; brał imienia Pana Boga swego nadaremnie – mówi Pan. Pewnie chciał nam powiedzieć przez to, że tak bardzo poważnie nas traktuje, iż jest gotów przyjść z pomocą na każde nasze wezwanie. Dlatego ostrzega nas, że Imię Jego nie jest dźwiękiem, jak inne dźwięki.

Muzycy, od zarania dziejów, posługiwali się Imieniem Pana. Czy jednak nie naruszyli czasem drugiego przykazania? Pamiętam, jak parę lat temu jeden z zespołów młodzieżowych w swoich piosenkach odwoływał się do Imienia Najwyższego, dorabiając do tego jakąś słodką ideologię. Potem ten sam zespół zdobył olbrządną popularność piosenką o zupełnie innych imionach, piosenką tak wulgarną i bezmyślną, że wzbudziła ona nawet protesty co *wrażliwszych fanek*.

Powyższy przykład może prowadzić do powstania wrażenia, że Autorom i Kompozytorom było i jest w gruncie rzeczy wszystko jedno, o czym śpiewają: – *Temat jest tylko chwytliwym marketingowym*... Niestety, w P.T. Działach oddziaływanie tego *ducha marketingu* dość dobrze słychać było tak wówczas, jak i obecnie. Nie jest to miłe dla ucha.

Bogu dzięki, jest wiele przykładów przeciwnych. Niektórym dziełom nie szkodzi nawet ewidentny *duch marketingu*: vide – *Wielka Msza h-moll* J. S. Bacha, dzieło katolickie napisane przez protestanta z okazji, jak byśmy to dziś powiedzieli, konkursu na stanowisko nadwornego kompozytora króla Polski. (*Nota bene* król – zresztą Sas – Bacha nie docenili. Czyżby już wtedy przetargi i konkursy były *odpowiednio ustawione*?). Nie brzmią też fałszywie niektóre współczesne utwory religijne. Nie, nie powiem które: wyostrajmy słuch sami, drodzy Czytelnicy.

Poświęćmy chwilę uwagi **II Przykazaniu**, pomóżmy artyście zrozumieć, że *nadaremnie wzywając imienia Boskiego*, nadaremnie również pukają do naszych serc i kieszeni.

Maria Szreder

POLEMIKA

Brutalność, z jaką zakończono konflikt w fabryce w **Ożarowie** wpisuje się w poważny kryzys, jaki przeżywa nasze myślenie o etyce biznesu. Słychać w nim ponure echo twardego ekonomizmu – zysk ponad człowieka – przed którym przestrzegali już wiele lat temu Jan Paweł II w encyklice **Laborem Exercens**. Natomiast tekst **Stefana Niesiołowskiego** pt. **Ożarów (PiP)**, styczeń 2003) w zawdziwiający sposób bagatelizuje te zagrożenia.

Zhumanizować kapitalizm

Andrzej Zybala

Najpierw przywołałam kilka błędów rzeczowych, których nie ustrzegł się Autor tekstu. Otóż **Zakład w Ożarowie** nie został zamknięty z powodu niemożności sprzedawania swoich produktów, czyli kabli, a z powodu decyzji jego właściciela czyli **Tele-Foniki** o przeniesieniu produkcji do Myślenic – innego zakładu tej firmy. Inaczej wygląda też sprawa prywatyzacji. Obecny rząd nie podjął decyzji o prywatyzacji Ożarowa, ponieważ firma była już prywatna nim przejął ją **Tele-Fonika**. Natomiast rząd L. Millera, a dokładnie **Urząd Antymonopolowy (UA)**, zdecydował o wyrażeniu zgody na odkupienie Ożarowa przez **Tele-Fonikę** (od firmy **Elektrim Kable**). Wcześniej **UA** za rządów premiera J. Buzka nie godził się na taką transakcję z powodu – uzasadnionych zresztą – obaw, iż **Tele-Fonika** zostanie monopolistą na rynku kabli. Ostatecznie, po przejęciu Ożarowa, pod koniec 2001 roku (wraz z pozostałą częścią **Elektrim Kable**) **Tele-Fonika** osiągnęła aż 60 procent udziału w sprzedaży kabli na polskim rynku (oraz 90 procent krajowej produkcji).

Ponadto nie da się obronić oceny, iż właściciel **Tele-Foniki** został zmuszony przez pracowników, aby *produkcować towar, którego nikt nie chce kupić*. Decyzja o zamknięciu zakładu w podwarszawskim Ożarowie nastąpiła już w miesiąc po przejęciu w nim władzy przez **Tele-Fonikę**. Warto zaznaczyć, że w ostatnich latach ta firma przynosiła wielkie zyski, a przedsiębiorstwo znalazło się w gronie największych krajowych firm oraz największych europejskich producentów kabli.

Stefan Niesiołowski zdradza również tendencję do głoszenia dość obraźliwych teorii o zepsuciu moralnym czy komunistycznych ciągach załóg przedsiębiorstw. Oto pracownicy Ożarowa – zdaniem Autora – połknęli bakcyla leniwej komunistycznej gospodarki i teraz wszystkiego oczekują od państwa, w tym ponownego uruchomienia produkcji kabli, aby mogli odzyskać zajęcie. Pracownicy mieli jednak prawo bronić się, wchodzić w spór, właśnie w sytuacji gdy problem został wywołany antyrynkową polityką rządu (doprowadził do powstania monopolu), oraz w sytuacji gdy Bogusław Cupiał, właściciel **Tele-Foniki**, szybko i ochoczo poczuł się panem życia kilkuset pracowników i ich rodzin.

Stefan Niesiołowski chętnie i szybko zwołał z odpowiedzialności społecznej i moralnej właściciela **Tele-Foniki**. Przyznał mu zatem prawo do tak brutalnego działania tylko dlatego, że ten pomnożył swoje zyski, likwidując zakład w Ożarowie, a produkcję przenosząc do innego swojego zakładu (zyska na ograniczeniu kosztów poprzez koncentrację produkcji w jednym miejscu). Mamy tu do czynienia ze zwycięstwem rachunku ekonomicznego nad sprawami ludzkimi, etycznymi. Ostrzegaliśmy przed tym Jan Paweł II, pisząc w encyklice **Laborem Exercens**, że *nie można przeciwstawiać pracy kapitałowi ani kapitału pracy*. Szansą na przezwyciężanie antynomii pracy i kapitału pozostaje respektowanie podmiotowości człowieka w rachubach ekonomicznych. Papież piętnuje *sztywny kapitalizm* promowany często przez skrajny liberalizm gospodarczy. Papież oczy-

wiście nie podważa w żaden sposób nie-naruszalności praw własności, ale osadza je głęboko w *uniwersalnym przeczuciu dobru*, w tym środków produkcji.

To papieskie przesłanie powinno zostać zaadresowane do naszych przedsiębiorców. Należałoby ich przestrzegać przed taką logiką rozwiązań siłowych, przed pokusą szybkich zysków. Ma to niszczące skutki dla gospodarki, ale i dla nich samych. Czy możliwa jest współpraca ludzi w przedsiębiorstwach, jeśli nad głowami wisi ostry miecz barbarzyńskiego traktowania? Obecnie największą obroną kapitalizmu w Polsce byłoby promowanie harmonijnych stosunków między pracodawcami, pracownikami i środowiskiem lokalnym. A tu już przecież blisko do małej wojny domowej.

Właściciel spółki **Hetman** z Elbląga brutalnie zwalniał panie chcące założyć związek zawodowy. Podobnie dzieje się w wielu sklepach wielkopowierzchniowych. Również pracownicy odwołują się czasami do drastycznych metod: w jednej ze szczecińskich firm odzieżowych pobili swojego prezesa.

Sprawa Ożarowa rodzi konieczność postawienia zasadniczego pytania: czy biznes powinien czuć się ograniczony choćby pewną zwyczajową dozą etyki w swoich dążeniach do zysku i pozycji rynkowej. Potrzebne jest też pytanie: czy to, co jest dobre dla biznesu, jest zawsze dobre dla państwa i społeczeństwa. Żeby się nie bać tych pytań, powiedzmy, że w USA, czyli mekce dzisiejszego biznesu, niemal połowa Amerykanów odrzuca głoszone często przekonanie, że biznes ma zawsze rację i wszystko, co robi, jest dobre dla państwa. Oni się spierają o to, jaki ma być biznes. My w Polsce mamy obawy, że jakakolwiek krytyka środowisk biznesowych to powrót do sławienia komunij. Tymczasem jeśli nie zhumanizujemy na czas stosunków w biznesie, katastrofa dosięgnie wszystkich. Bez zaufania i ludzkich odruchów nie może działać żadna gospodarka. Trzeba mówić przedsiębiorcom o etyce, nauce społecznej Kościoła. Musimy bowiem bronić się przed nowoczesną odmianą barbarzyńskiej wojny wszystkich ze wszystkimi. ■

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia Św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:

red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k/Warszawy.
Telefon Wydawnictwa: (22) 781-16-40.

Skład, łamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł.
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na
konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

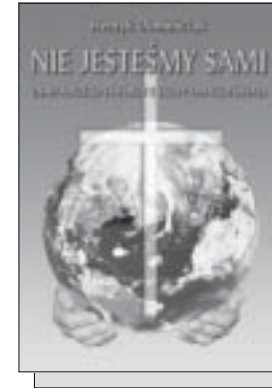
Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyń 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



Taką pozycję książkową **Wydawnictwo Michalineum** wydaje po raz pierwszy. Książka **Henryka Dominiczaka: Nie jesteśmy sami** (z podtytułem: **Znaki naszego Stwórcy z tego i tamtego świata**) jest bowiem jakby próbą wielkiej syntezy wiedzy o wszechświecie (szczególnie: naszym świecie!) – od jego powstania, po obecne precyzyjne funkcjonowanie. Autor opiera się na wypowiedziach znaczących autoritetów naukowych (niekoniecznie wierzących) z różnych dziedzin wiedzy, zwłaszcza nauk przyrodniczych i filozoficznych. Jest to jednocześnie rodzaj podręcznika dla studentów seminariów duchownych oraz usystematyzowany

cykl materiałów na spotkania duszpasterskie w środowiskach akademickich, dla okrzepnięcia w wiedzy o świecie czy ugruntowania jednego światopoglądu u ludzi poszukujących.

Zaczyna się od przedstawienia ogromu wszechświata, umiejscowienia w nim naszej planety – a na niej: pozycji człowieka. Następnie Autor rozprawia się z teoriami powstania człowieka na zasadzie jakiegoś przypadku. Na przykładzie ładu, harmonii i piękna kosmosu wykazuje, że taki uprządkowany, uładzony jednolicie świat nie mógł powstać przypadkowo, z materii, która miałyby się sama zorganizować w niebotyczne skomplikowane struktury – od świata materii nieożywionej, przez prostą roślinność, świat sensytywny zwierząt, po rozum, emocje i świadomość człowieka. Taki świat musiał być najpierw zaprojektowany przez Istotę Superdoskonałą spoza tego świata.

Przy okazji podano nam sporą dozę syntetycznej wiedzy z zakresu paleontologii, archeologii – zwykłej historii ziemi (jak Autor to nazywa) w *skalach zapisanej*. Bardzo szczegółowo przedstawiono również dylematy i mankamenty teorii ewolucji form życia na ziemi, ukazując człowieka jako dzieło Boga-Stwórcy.

Sporą część dzieła zajmuje historia religii oraz historia myśli filozoficznej i krótki rys zbawczej misji Jezusa oraz Jego ingerencje przez objawienia.

Ostatni – jakby eschatologiczny rozdział omawianego dzieła – napisany w stylu Moody'ego *Życie po życiu* – ma na celu raczej zaciekawienie Czytelnika, by zaczął książkę czytać. To nic – że zacznie od końca czy jako przerywnik w trakcie lektury części o bardziej naukowym profilu. Książkę można potraktować jako współczesną *Quinquaviae* – ścieżki prowadzące nieuprzedzony umysł ludzki do odszukania i poznania Boga Stwórcy.

Książkę **Henryka Dominiczaka Nie jesteśmy sami** Wydawnictwo **Michalineum** proponuje pod adresem:

Wydawnictwo **Michalineum**
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki

tel. 0 (22) 781-14-20, fax (22) 771 36 15
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 14 zł plus koszty wysyłki.